

Opłata pocztowa niszczona ryczałtem

wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 30 stycznia 1949 r.

Nr 5 (184)

Jan Maria Gisges

PUSZCZA EMERYKA

(czyli znów sprawa organizacji kultury na prowincji)

Franciszek Wielopolski, wojewoda krakowski
Muzeum Świętokrzyskie w KielcachJadwika Koziarska (Ilza), „Twardowski”
Fot. P. GanWincenty Kitowski (Ilza) „Baba
świętokrzyska”
Fot. P. Gan

W ostatnich miesiącach ubiegłego roku dokonały się poważne zmiany w polityce kulturalnej. Zjednoczenie klasy robotniczej i umocnienie pozycji proletariatu, który stawia na jednym z pierwszych miejsc zagadnienie kultury obok podniesienia poziomu oświatowego i ekonomicznego wsi daje rękojmię, iż zagadnienia te będą konsekwentnie realizowane i że w niedługim czasie nastąpi poważna niwelacja różnic pomiędzy wsią i miastem. Różnice te dotychczas występowały jeszcze w ostrej formie w zakresie kultury i dziś istnieją niewątpliwie. Dobrze o tym wie działacz oświatowo-kulturalny. Niemniej przemiany w omawianej dziedzinie ilościowe i jakościowe w ostatnim trzyleciu są bardzo znamienne i myślę, iż należy im poświęcić kilka uwag. Za przedmiot tych szkicowych rozważań biorę Kielce, gdzie pracuję, a którą już kilkakrotnie w prasie społeczno-literackiej zaatakowano. Uwagi moje należy traktować jako próbę podsumowania dokonanych i dokonywających się zmian na prowincji. Będą one również w pewnej części odpowiedzią na insynuację Juliusza Nowaka — Dłużewskiego, zamieszczone w noworocznym numerze „Odry”.

Kielce, która zamieszkuje 1.717.000 mieszkańców, jest regionem walcącym o duży bogactwie lasów przy coraz pomyślniej rozwijającym się górnictwie. W najbliższej przyszłości ziemia ta zmieni oblicze pod wpływem rozwoju przemysłu, a że to nastąpi — dowodem niech będą sygnały, jakimi są — Starachowice, gdzie już produkuje się samochody ciężarowe, Ostrowiec Świętokrzyski, gdzie przystąpiono do produkcji wagonów, kopalnie pirytu koło Słupi Nowej, kopalnie gipsu w Wójczy w pow. buskim, około 30 ośrodków maszynowych rolnych itd. W związku z rozrostem miast przemysłowych, które powiększą się w okresie sześciolatnim o pokaźne tysiące robotników, odczuwana zostanie przeludniona jeszcze uboga wieś kielecka, zwłaszcza w powiatach kieleckim, kozińskim, ilżeckim.

Kielce, która w niedalekiej przyszłości stanie się regionem o zmienionej strukturze gospodarczej, a zatem i kulturalnej. Przy wzmożonej działalności klasy robotniczej i radykalnej chłopskiej — zmniejszy się rola i znaczenie kliki kapitalistów, drobno-mieszczaństwa i klerikałów, o której trafnie pisał Jazdżyński we „Wsi” (Nr 43/172), a która dotychczas urabiała w wielu wypadkach tzw. opinię publiczną. Zmiana ta zapewni pomyślny rozwój regionu w prostej linii do socjalizmu.

Wróćmy do historii organizowania kultury. Lata 45-46 to okres pomyślnego porządkowania zaniedbanego podwórka — w oparciu, zwłaszcza niektórych działaczy na terenie miasta Kielce, o tę tradycję, która ukazywała szlachetność czy mieszczaństwo, zapatrzone w ideały kapitalistycznego zachodu. To trzeba sobie szczerze powiedzieć. Do tej „muzealnej” przedwzrostowej tradycji,

wydaje się, nawiązywała polityka pierwszej i drugiej dyrekcji muzeum kieleckiego, która pokazywała do niedawna jeszcze w ogromnych pięciu salach tylko portrety szlachetków, regionalnych magnatów, meble, wazy, talerze itp. — cały balast tzw. „cmentarza zabytków”. A powstał on (co znowu należy poczytać za zasługę wielką i niewątpliwą zbieraczom) z nagromadzonych, uratowanych przed zniszczeniem, zwiezionych z rozparcelowanych majątków dzieł sztuki, świadczących o bogactwie stanu szlacheckiego. Ale zwiedzający wychodzili z muzeum w przekonaniu, że przeszłość regionu, to tylko świetna przeszłość szlachecka. Pominęto bogaty przecież tutaj materiał sztuki ludowej i etnografii, o który rozegrała się wielka batalia z dyr. Krajewską z Łodzi, pominęto całkowicie ruchy polityczne, socjalne, rok 1863, „Zaranie”, brak było pamiątek po Sciegiennym, Sienkiewicz (z racji Obłęgorka) Dygasińskim, Zeromskim. Nie wiadomo czy dzisiejsza dyrekcja myśli o tym, że możemy stanąć wobec faktu, iż po tych twórcach, w ten czy inny sposób związanych z regionem, nie pozostanie nic — jak nie marie po Reju i po Kochanowskim. Brak w muzeum świętokrzyskim dzieł malarskich Smermentowskiego, Brandta i wielu innych malarzy, wywodzących stąd swój rodowód. Natomiast ogromna ilość zwiezionych rzeczy z terenu to rupiecie zawałające magazyny i piwnice.

Mówiąc o tradycji muzealnej miałem również na myśli owych kilkanaście wystaw plastyków, zresztą urządzonych niedydaktycznie, często o słabym poziomie — po co — po to by sprzedać. Kupowała zawsze „prywatna inicjatywa”. W ten sposób dzieła malarskie traciło swój cel, bo miało wisieć w hallu jakiejś instytucji społecznej, politycznej, w pokojach przyjęć, w biurach i urzędach, w szkołach, gdzie obraz żyłby życiem tysięcy spozierających na niego oczu i zdobywałby wartość społeczną — zamiast tego — szedł do prywatnego domu, aby uczynić zadość prawu „świętej własności”. Wystawy plastyków w Kielcach nie cieszą się powodzeniem, bo co to znaczy 800 czy 1.000 osób zwiedzających rocznie na 50.000 mieszkańców miasta? I w tej nikłej liczbie prawie zawsze dominowała inteligencja, czasem młodzież. Ale bardzo rzadko. Chłopa tam nie widziałem ani razu — a przecież jarmarki w Kielcach odbywają się dwa razy w tygodniu. Robotnika też nie widziałem na tych wystawach. Natomiast przez muzeum świętokrzyskie przewija się od czasu do czasu nieliczna wycieczka robotnicza. Frekwencja w muzeum bardzo słaba, bo od 1.000 do 2.000 osób miesięcznie. (W tym wiele wycieczek szkolnych i wojskowych).

Wyrażając się ujemnie o kilku latach przeszłych myślałem o zaniedbanym i przemilczanym ważnym zagadnieniu ruchów amatorskich zespołów ludowych śpiewających, scenicznych, orkiestralnych, zagadnieniu świetlic, domów społeczno-kulturalnych, miałem na myśli koncerty urządzone jedynie w wielkich miastach z pominięciem osiedli robotniczych, miasteczek i wsi — a więc z pominięciem w popularyzacji kultury —

W NUMERZE
między innymi:

- J. A. Król — Chłopek z lubelskiego
T. Chrościelewski — Droga do sławy
J. Walenczyk — Wiersze
W. Lenin — Ze „Szkicu też w kwestii rolnej”
W. Jazdżyński — Rozmowy z agronomami
J. Cios — Na zjeździe ZZLP
S. Pięta — Etap
S. Orzeł — Dzieciństwo
J. Jelonek — Grypsiarze to też pisarze
G. Szturchaniec, J. Piątek, P. Pigwa — Polemiki.

Kobieta w stroju ludowym
(Zbijów, pow. Ilza)

Fot. P. Gan

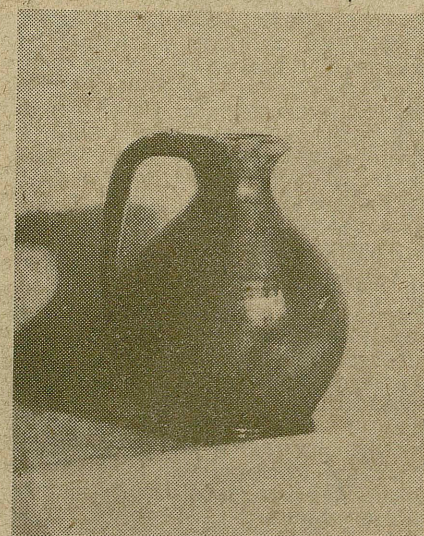
Fryderyk Babel (Koszary). Dzbany 50 cm
wysoki, niepolewany

Fot. P. Gan



Sprzedaż garnków z Denkowa w Ostrowcu Świętokrzyskim

Fot. P. Gan



Stanisław Luba (Ilza). Dzbany

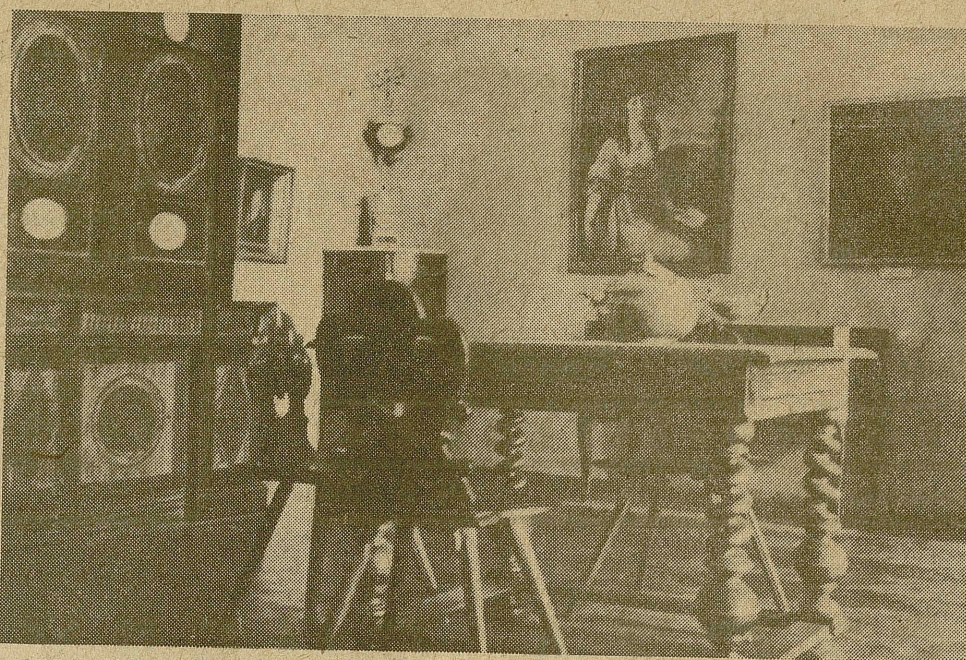
Fot. P. Gan

tych grup społecznych, do których należy idąca epoka. Właśnie przez to elitarnie traktowanie sztuki w latach dwudziestych i dawniejszych — nastąpiło upośledzenie kulturalne ogromnych warstw ludzi, pracy fizycznej — proletariatu i chłopów.

W obecnej rzeczywistości kulturalnej znów wracamy do pracy organizacyjnej, oświatowej-kulturalnej przede wszystkim na wsi. Do tego zakresu zaliczam likwidację analfabetyzmu. Gdy przed wojną na terenie województwa kieleckiego było 25,7 proc. analfabetów (według rocznika statystycznego z 1939 r.) dziś ich jest około 14 proc. wg danych Kuratorium O. S. w Kielcach. Tu wymienić trzeba poważny rozwój radiofonizacji wsi, obok tego ważną akcję biblioteczną, która w skali ogólnopolskiej może pośzczycić się najpiękniejszymi wynikami. Bo gdy w początku 1948 roku było na terenie województwa 236 bibliotek gminnych, dziś ich jest 1.736 — łącznie z punktami bibliotecznymi. W każdym powiecie jest ponad sto punktów bibliotecznych. W jednym tylko powiecie, z którego udało mi się uzyskać dane statystyczne — włoszczańskim według stanu na dzień 28 grudnia 1948 r. — na 89.308 ludności wyłącznie rolniczej jest 5.552 czytelników, gdy z początkiem roku liczba ich niewiele przekraczała 1 proc. A więc w tym terenie na 1 bibliotekę wypada 5.974 osoby, gdy wg danych zebranych przez Amerykańskie Towarzystwo Bibliotek i Brytyjskie Stowarzyszenie Bibliotek — w Anglii 1 czytelnika publicznego przypada na 80.000 ludzi, w Stanach Zjednoczonych na 20.331 ludzi, zaś w Rosji Sowieckiej 1 biblioteka publiczna przypada na 2.167 mieszkańców. W skali wojewódzkiej w stosunku do ludności w gminach wiejskich czyta przeciętnie 2 proc., w bibliotekach miejskich i powiatowych od 3 do 6 proc. Na marginesie stan czytelnictwa czasopism w miastach: otóż w Kielcach na 50.000 mieszkańców, codziennej gazety, jaką jest „Życie Radomskie”, rozchodzi się 2.500 egz., w Radomiu na 80.000 mieszkańców — 8.000 egz., „Odrodzenia” — 300 egz., „Tygodnika Powszechnego” 100 egz., innych jak „Kuznica”, „Wieś” — do 150 egz. Czasopisma te w 60 proc. są czytane przez mieszkańców, w 30 proc. przez szkoły i 10 proc. przez rolników. Robotnicy czytają prasę codzienną po linii partyjnej, wieś ogólnie — ludową, rolniczą lub katolicką.

Obok akcji bibliotekarskiej i czytelnictwa na wsi rozbudowuje się sieć wiejskich ognisk muzycznych. Również robotnicze takie ognisko powstało ostatnio w Starachowicach (w listopadzie ub. r.) z inicjatywy tamtejszych muzyków i potrzeb społeczeństwa starachowickiego. W ognisku tym obecnie kształcą się 71 uczniów w 98 proc. pochodzących z klasy robotniczej. Ognisko to w przeciągu 2 miesięcy dało siedem koncertów dla świata pracy. W bieżącym roku powstana podobne ogniska w Piotrkowicach i Bielinach (pow. kielecki) i w Sandomierzu. Obok już istniejących ognisk kultury plastycznej w Sandomierzu, Kielcach i Częstochowie powstanie ognisko w Ostrowcu Świętokrzyskim. Ogniska te mają na celu wychowanie i wykształcenie konsumentów sztuki właśnie ze sfer robotniczych i chłopskich, wykształcenie młodzieży na kierowników świetlic.

Myślę, że jest to „bardzo konkretna treść



Muzeum Świętokrzyskie w Kielcach. Fragment wnętrza sali pierwszej
Pot, A. Oleś

materialna tego, co się chce organizować”. I to są właśnie te ośrodki promieniowania twórczego, w których J. Nowak-Dłużewski widzi „organizowanie mgławicy”. Czy aby to nie jest dywersja na tyłach, która usiłuje opóźnić wzrastający ruch rozbudzenia wsi, podniesienia stanu kulturalnego ośrodków robotniczych?

Jakże poważną rolę spełnia robotniczy zespół „Świt” ze Skarżyska, objeżdżający z widowiskami małe osiedla pow. kieleckiego, radomskiego, kozienickiego i ilżeckiego, jaki poziom ma chór robotniczy „Pochodnia” z Częstochowy, który w jesieni 1948 roku zdobył pierwszą nagrodę na festiwalu międzynarodowym w Budapeszcie, jakie znaczenie dla rozwoju teatru ludowego, nowych form, ma praca zespołu teatralnego z Uniwersytetu Ludowego z Prawic — o tym wie każdy działacz oświatowo-kulturalny z Kielecczyny, o tym wie Warszawa, ale o tym zdaje się nie wiedzieć Nowak-Dłużewski. Pomijam inne ważne zespoły, bo nie miejsce tu na ich rejestrację. Chodził przecież o zjawiska kulturalne, grające poważną rolę w podnoszeniu poziomu, w upiększaniu kultury i jej dóbr, w jej umasowieniu, a nie tylko popularyzowaniu.

Zagadnienie sztuki ludowej Kielecczyny jest stawiane na jednym z pierwszych miejsc w planach kulturalnych tego regionu. A że to wynika z planów, dowodem opracowywania kolejnych konkursów ceramicznych dla Ilży, Denkowa, Chałupki, które nie tylko mają zasługę w podnoszeniu poziomu estetyki produkcji, ale przede wszystkim te, że ośrodki te mogą się rozwijać, że konkursy dają możliwości ekonomiczne dla rozwoju i eksportu za granicę, a więc zbytu. Bez planowej pomocy Państwa w tej formie, o ja-

kiej wspominam, nie byłoby dziś mowy o istnieniu skupisk ceramicznych takich jak Denków, Kały, Chałupki, Ilża czy Koszary i nie byłoby czym pochwalić się na wystawie w Moskwie i Nowym Yorku. Otwarta 24 października ub. r. wystawa kieleckiej sztuki ludowej była poważnym sukcesem w skali ogólnopolskiej i zdaniem rzeczoznawców i delegatów Ministerstwa Kultury i Sztuki — była to najlepsza tego rodzaju wystawa zorganizowana w Polsce po wojnie. Tak jak ceramika użytkowa i galanteria ceramiczna, podobnie i tkaniny okazały się ciekawymi eksponatami, które zaliczyć należy do postępowego dorobku współczesności.

Wszystko to, co się już powiedziało, są to osiągnięcia poważne na drodze do planowego rozwoju kulturalnego Kielecczyny, niemniej jest jeszcze dość daleko do stanu idealnego, do doskonałości, do której przecież zmierzamy.

Przechodząc do zawodowego ruchu kulturalnego zanotować należy wielki postęp orkiestry symfonicznej w Kielcach i Częstochowie, które dały w roku ubiegłym łącznie 81 koncertów, w tym 42 koncerty dla szkół, 23 dla świata pracy i 16 ogólnych. Ujmując sprawę terenowo — 34 koncerty odbyły się w miasteczkach i na wsiach a 47 w miejscowościach siedzib orkiestr a więc w Częstochowie i Kielcach.

Szczegółowiej dla ilustracji podam dane z miesiąca listopada 1948 — dotyczące koncertów Wojewódzkiej Orkiestry Symfonicznej z Kielc. Odbyło się 10 koncertów, których wysłuchało łącznie 5.738 słuchaczy. Wykonano ogółem 82 utwory kompozytorów takich jak: Chopin, Czajkowski, Moniuszko, Rubinstein, Glinka, Dargomyżski, Wojciechowski i inni. W październiku urządzono 15 koncertów dla 4.996 słuchaczy.

Obok tego rozwija się żywa działalność Klubu Literackiego w Częstochowie, Kielcach, Radomiu. W Kielcach np. od marca 1948 r. było 21 „Czwartków Literackich”, na których frekwencja wynosiła od 70 do 250 osób. Na wieczorze autorskim Tadeusza Kubiaka było około 600 osób. W Radomiu urządzono od maja do grudnia 14 „Piątków Literacko-Artystycznych”, na których frekwencja wynosiła do 50 osób, nie mówiąc o wieczorze autorskim Wł. Broniewskiego, na którym sala była przepełniona.

A przecież na terenie Kielecczyny jest załedwie trzech literatów: Burek — w Sandomierzu, Ozóg — w Radomiu i Gisges — w Kielcach.

W bieżącym roku przewiduje się przyjazd literatów z miast centralnych do ośrodków robotniczych i postępowych wsi, aby związać nową twórczość z masami ludowymi i ich walką.

Pominałem tu rolę teatru zawodowego, którego znaczenie wielokrotnie na łamach różnych czasopism było omawiane. Dla ilustracji tylko podam, że w Radomiu w przeciągu niespełna 4 miesięcy na 3 widowiskach było 30.000 widzów, w Kielcach na 260 przedstawieniach (18 utworów) około 86.000 widzów (w roku 1948).

W Kielcach projektuje się w styczniu br. przeprowadzić unifikację stowarzyszeń o charakterze naukowym, kulturalnym i artystycznym. Fuzja ta ma za zadanie zjednoczenie twórczych wysiłków ludzi, którzy pracują nad podniesieniem stanu nauki, kultury i sztuki na terenie województwa, w jedną mocną, sprężystą organizację. Jest to wywołane lokalnymi warunkami i potrzebami społeczeństwa.

Jak z tych szkicowych uwag wynika, nie jednostki kształtują oblicze kulturalne regionu, (choć nie ujmuję się znaczenia ich wpływu i walorów osobistych), a czynią to określone warunki społeczne, okoliczności i wypadki, które w obecnej tylko rzeczywistości politycznej, ekonomicznej, gospodarczej, w obecnym układzie sił społecznych mogą mieć i mają miejsce. Idziemy więc naprzód pełni optymizmu, że w niedalekiej przyszłości nierówności i zapóźnienia kulturalne będą w ogromnym procencie zlikwidowane.

Należy do entuzjastów, do tych, którzy treści rewolucyjne łączą z realizmem, którzy piękno widzą w odbudowie i rozbudowie przemysłu, w rozwoju ekonomicznym wsi, którzy walczą o postęp, wiedzę i awans społeczny i kulturalny obecnego rozwijającego się człowieka pracy, wszystko jedno czy to fizycznej, czy umysłowej.

W dawnych puszczech Emeryka, gdzie zakonnicy stawiali monumentalne budowle kościelne, gdzie oparcie znaleźli arianie, skąd po raz pierwszy zabrzniał w literaturze język polski, człowiek XX wieku stawia sobie pomniki fabrykami, kominami wapienników, szczytami górskimi, budowlami domów kultury — w upartej walce z epigonami mijającej epoki — w ciągłym rozwoju, wzbogacając coraz intensywniej kulturę mas, idąc naprzód z przeobrażeniami świata.

Jan Maria Gізges

Jan Aleksander Król

„CHŁOPEK Z LUBELSKIEGO”

(o Karolu Namysłowskim)

Pamiętamy wszyscy aż nadto dobrze historię „Janka Muzykanta”. W ludzie kryją się skarby uzdolnień artystycznych. Ale skarby te marnują się, bo klasy posiadające i bawiące się „kulturą” nie uprawiają filantropijnego mecenatu. W zbiorowym tomie opowiadań Sienkiewicza „Janko Muzykant” wychodzi w r. 1882. Otóż w tym samym roku Karol Namysłowski organizuje pierwszą włoską orkiestrę w Lubelskiem. Daje parobkom instrumenty. Uczy ich gry i orkiestra staje gotowa do popisu, aby zaświadczyć koncertami o zdolnościach ludu. Będzie występować w Lublinie, Kallszu, na Śląsku, w Warszawie na Dynasach, nawet w New-Yorku.

Karol Namysłowski był ziemianinem z pochodzenia. Kończył konserwatorium w Warszawie razem z Paderewskim, ale za granicę na dalsze studia nie pojechał. Zawrócił z drogi wiodącej do sławy wirtuoza i kompozytora na obu półkulach. Bo nie to jest ważne, czy mógłby ją zdobyć. Ważne są jego związki z pozytywizmem i następująca fala nacjonalistycznych nastrojów w kraju. Pozytywizm go wychował. A przeszczeplanie oświaty w lud wyraziło się w tym okresie ruchem emigracyjnym inteligencji z miast i dworów na wieś. Oczywiście nie był to proces masowy. Wychodził z wąskich, bo intelektualnych i postępowych kręgów inteligencji. Odpowiadał tej akcji, jaką dzisiaj przeprowadzają studenci socjologii w terenie, z tą jednak różnicą, że praktyka, osobiście twarzą w twarz obcowanie na wsi z chłopami miały doprowadzić do teorii pracy dla ludu. Do teorii drogi ludu do awansu kulturalnego.

Brzeziński, Pruszyński (Promyk), Dziubińska i właśnie Namysłowski, to pierwsze z brzegu nazwiska najgłośniejszych przodowników tego ruchu.

Ale lata 90-te ubiegłego wieku to już lata przełomu. Załamanie się pozytywistycznych nadziei na krajowy — polski kapitalizm.

Nie znaczy to, aby „lud spadł w cenie. Przeciwnie, wyraźnie rośnie nań „hossa”. Prus kończy „Lalkę” niedwuznaczna apostrofą: „został nam Bóg, ziemia i lud. Tylko, że dla organiczników „Janko Muzykant”, który by dostał skrzypce i stypendium z dworu, powinien jechać za granicę, osiągnąć sławę... Paderewskiego. Dla organiczników „Antek”, wsparty przez dobrych ludzi, powinien zostać w jednej osobie polskim Edisonem i Fordem, jeszcze lepszym Wokulskim. Krótko mówiąc, szło pozytywistom o wydobycie „organicznych talentów” ze wsi na przesunięcie ich ponad drobniomieszczanstwo do szczytu brakującej kopuły: polskiej, dynamicznej burżuazji. Sprawa wsi rozkladała się zatem na dwa zagadnienia: garść talentów na szczyt polskiego mieszczaństwa i masy wiejskie, oświecane powszechnie dla organicznego wrośnięcia w epokę mieszczaństwa, w przyszłospieszony rozwój kapitalizmu. Ta kombinacja nie udała się od góry. Kapitalizm Zachodniej Europy rozwinął do fazy koncentracji przemysłu i finansów nasunął się jak lodowiec na zapóźniony w przemianach społecznych i rozwoju cywilizacyjnym kraj nadwiślański i puste piętro burżuazji polskiej wypełnił szczerle, zmiatając krajowych ryzykantów. Ziemianstwo stanęło wobec konieczności zrastania się z tą obcą burżuazją, stanęło wobec spółki do podwójnej eksploatacji ludu wiejskiego i miejskiego. W spółce z polską burżuazją byłaby to eksploatacja jakoś chroniąca suwerenność ekonomiczną kraju, wzmagać ją jego potencjał gospodarczy. W spółce z obcą burżuazją, z obcym kapitałem, lud wiejski i miejski wystawiony został na łup eksploatacji kolonialnej. A przecież przy pomocy własnych sił narodowych, za zgodą klas posiadających i społecznie panujących — dla prowizji, jaką one czerpały z tego handlu, aby trwać na pozycji „klas posiadających i społecznie panujących”. To był ten bardzo drażliwy i groźący obnażeniem punkt zwrotny. Dlatego, kiedy w okresie pozytywizmu o

narodzie i patriotyzmie nie mówiło się zbyt głośno i dużo, teraz słowo „ojczyzna” nie schodzi z ust. Halaśliwy patriotyzm miał przesłonić nową postać niewoli narodu — niewolę ekonomiczną. Miał przesłonić rozwój jej powstania: opóźnienie przemian społecznych, ich potowiczność, miał przesłonić aktualnie klasę, która tę niewolę współtworzyła, miał przytłumić rezonans walki klasowej, jaką już rozwijał rosnący proletariatus, miał wreszcie utrzymać za wszelką cenę wieś, jako rezerwę burżuazji i ziemianstwa.

Wracamy do wsi i ziemianstwa. W kolonialnym położeniu wsi, przyjętym jako założenie stabilne na przyszłość, inaczej stanęła sprawa ludu. Nie potrzebna już jest ani garść talentów na szczyty mieszczaństwa, ani rozfalowanie mas chłopskich do awansu w kapitalizm, skoro przyszłość zakłada utrwalenie niedorozwoju industrialnego. Zakłada, to znaczy, jest podyktowana przez kapitalizm imperialny. Potrzebne jest natomiast wychowanie wsi do losu kolonialnego. Los kolonialny mas narodowych oto nowa, dominująca teraz treść znaczeniowa w pojęciu ojczyzny i patriotyzmu. W chłopstwie wszak akcentuje się to, co stanowiło jego średnicę wieczną przeszłość: religijną parafialną i kulturę ludową. Taka wieś bez buntu wytrwa w kapitalizmie niedorozwiniętym, wytrwa bez buntu w półkolonialnym kraju Europy. Takiej wsi można mówić o „ojczyźnie”, w takiej wsi można widzieć „narod”. Można ogłosić solidarność klas w imię samobójczego nacjonalizmu. Kogo kryła religijna tradycja na wsi? Bogatych chłopów. Bogaty? Widać Bóg poszczęścił, widać Bóg z nim. On też dlatego był skwapliwie w rytualnej zgodzie z zakrystią i plebania. Regionalne tradycje — strój, budownictwo, sprzęty, uroczyste obrzędy rodzinne — na to stać było również tylko bogatych chłopów. Przymierze zostało zawarte z wsią kulałów, tzn. z jeszcze niższym ogniwem w hierarchii zarządców i eksploatorów ludności tubylczej w

kraju półkolonialnym. Kulacy świetnie zagrali akcesoriami kolonialnych ludów, magią i totemem: odpustami i pielgrzymkami oraz sukmaną i gazdostwem. Zagrali średniowieczem, aby im posłużyło do drapania się w górę po najniższych szczeblach awansu kapitalistycznego. Zaisie — komedia nieludzka. Miliarder, pierwszy monopolista John Rockefeller — jak pisze prof. Chałasiński — robił notatki z kazania, aby je powtórzyć chorej żonie. Niegorzaj obłudę i zakłamanie uprawiała burżuazja polska. Paweł Popiel, magnat galicyjski pisał w r. 1889 (w „Czasie”) o szkolnictwie dla dzieci chłopskich: „Stawiam pytanie, jakim prawem państwo odbierając rodzinom władzę, zaprawdę w tym przypadku z łaski Boskiej, wychowawia własnych dzieci, skazuje je nie tylko na długoletnie opuszczenie rodzinnej posługi, ale na możebną, często prawdopodobną, utratę tych zwyczajów rodzinnych i zasad moralnych, które nie tylko stekroć od nauki ważniejsze, ale również potrzebne dla rodziny, jak dla społeczeństwa”. „... dodajmy — w półkolonialnym kraju Europy, Krewniak, Konstanty Popiel z Kongresówki, pisał w r. 1887 („Niwa”) pod adresem postępowców: „Czem myślicie zastąpić ten stosunek wzajemnej pomocy, który wszędzie istnieje u nas po wsiach (między dworem a chatą — przyp. nasz), a istnieje siłą dawnego obyczaju, siłą rzeczy...”

To nie jest nowa teoria, jak Wasza, Panowie: to jest dawna praktyka, która wyrosła ze stosunku patryarchalnego. Bogu dzięki jeszcze u nas przechowana, a nie da się zastąpić żadnymi wymysłami rzekomej cywilizacji dziewiętnastego wieku”.

O piętro niżej te same zasady, przykrojone dla swolch potrzeb, wykladać będą kulacy. Przywołajmy na świadków Witkiewicza i Orkana. Pierwszy obserwował u gazdów góralskich „dumę i rodową pychę, pochodzącą z bogactwa, która rozpiera tak samo pierś Gasienicy jak Zborowskich”. Drugi przypatrywał się „tym i tamnym (biednym



Karol Namysłowski (1856–1925)

i bogatym góralom) i ich stosunkom wzajemnym. „Nie powiem, by się mi owi płoński lepiej przedstawiali. Tradycja i ducha prostuje i wyżej nieś się mu każe”.

Ta komedia nieludzka rozgrywała się przecież w kapitalizmie. Burżuazja religii i kultu tradycji stanowych przykrywała swój wyzysk kapitalistyczny. Ziemianstwo Bogiem i dawnymi obyczajami przykryło swój wyzysk kapitalistyczny, bo przez kapitalizm jej zachowany i dozwolony w warunkach półkolonialnego kraju. Kulacy Bogiem i „pychą rodową” przykrywali wyzysk kapitalistyczny wobec „braci - chłopów”, na tym niskim pięterku wolnej gry interesów drobnych posiadaczy ziemi w drobnej produkcji, drobnym najemnictwie, drobnym wykupnie i drobnej lichwie.

„Wzięta w siebie tradycja ojców ugruntuje nas w sobie i zespoli” (Orkan). Włóściar, kmieć i gazdów „ugruntowała w sobie” i z sobą klasowo zespolala. Ale Bóg i tradycja, te wartości pośredniowieczne, ciążyły swym brzemieniem również na biednej wsi. Ciemnota i bezradność ekonomiczna podtrzymywały w niej kult dla magii i tofemu (rodowego), jako naiwną wiarę, podczas gdy dla kulaków religia i tradycja pełniła już tylko rolę **KOSTIUMU I NARZĘDZIA do odegrania historycznej roli — drobnych kapitalistów.**

Kiedy się to wszystko weźmie pod uwagę, łatwo już zrozumieć, że inteligencja ziemiańska w latach 90-tych i później z pozytywizmu zachowała tylko technikę „pracy od podstaw” wśród ludu wiejskiego, **zmieni natomiast cel tej pracy.** Promyk dokonał wynalazku, stworzył „elementarz”, wykształcił jego wzór na literach, pisanych poprzez całą ścianę obór i chałup. Ale elementarz nie miał wyprowadzić chłopów z mroków mistycznego pojmowania życia. Nie kierował do świeckiego, pozytywistycznego racjonalizmu. T. Nocznicki wyrzucił mu, że w „Gazecie Świątecznej” (której Promyk był redaktorem) udzielał oświaty tylko takiej, jakiej życzył sobie kler. „Owszem — pisał Nocznicki — ci chłopcy umieją czytać, tylko nigdy nie, prócz książki do nabożeństwa, nie czytali”.

Brzeziński*, twórca pierwszej (po pańszczyźnie) biblioteki dla ludu z programowym katalogiem (1890 r.), układał to kompendium czytelniane na zasadzie gospodarki wyłączonej z kultury powszechnej. Miała to być literatura, tworzona specjalnie dla ludu, utrwalająca go w „stanie”. Oczywiście, że w ten program wdarł się jakoś pozytywizm. Są w tej bibliotece, jak dział II — książki przyrodnicze i geograficzne, jak III — książki praktyczne, jak IV — książki społeczne, ekonomiczne i prawne, ale obraz przyrody zapowiada się tu w niedwuznacznym stylu: „o wielu zwierzętach, roślinach, o drogich kamieniach, o soli, siarce, o wodzie”... To tak, jakby raz jeszcze (po średniowieczu) opowiadać o dziwach, jakie oglądał w Indiach Aleksander Wielki. Praktyczne książki podsuwały „takie rady jak ratować tu pieców i zamrażniętych”. Ale nawet nie ten typ lektury stanowił pozycję główną, określającą charakter jego biblioteki. Biblioteka stoi pod znakiem „rozpraw moralnych” i książek treści historycznej; im podporządkowany jest podstawowy dział: elementarne i książki dziecięce, bo czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał.

„Jak to kiedyś broniliśmy Głogów od Niemców, jak wojowaliśmy z Tatarami i jacy byli u nas dawniej znakomici ludzie”. Znakomici dawniej mogli się cieszyć z za grobu swymi potomkami, znakomitymi i pod koniec w. XIX, skoro w bibliotece Brzezińskiego do „rozpraw moralnych” zaliczone zostały — Sennik, O karczmie, O modzie papierosianej, żywot Sw. Genowefy, Przeraziwe echo traby ostatecznej itp.

Jadwiga Dziubińska założyła pierwsze w kraju szkoły rolnicze dla młodzieży chłopskiej. Praktyka w szkole rolniczej miała posłużyć jej wychowankom „do przekonania, że drobna własność może prosperować na

dzisiejszej wielkiej maszynie kapitalistycznej”. I posłużyła, bo w większości uczniami tych szkół mogli być, i byli, synowie i córki bogatych gospodarzy. Warunki materialne kształcenia i jego celowość dokonały tego przegrupowania na rzecz wielkorolnych. Kultura dla „obciosań grubego wiejskiego wiora” również służyła dzieciom klasy kulackiej.

Można by ten spis zasłużonych nazwisk ciągnąć w tomy. W tym szkicu mamy prawo paroma przykładami wyznaczyć nową rolę inteligencji, idącej w lud w latach dziewięćdziesiątych i dalszych. **Służy ona klasie kulackiej, w niej utrwała swój kontakt z wsią i wiedzę o wsi.** Wylaczamy z naszych rozważań zagadnienie intencji i celów, jakimi się ona kierowała. Czy Promyk bał się, podobnie jak magnat Popiel, wstrząsów społecznych, kiedy wieś odejdzie od tradycji i religianctwa? Popiel grzmiał na postępowców, że po tej drodze „prowadzą lud powoli do socjalizmu”. Czy Brzeziński również tego się bał? Albo Witkiewicz? Czy Dziubińska zdawała sobie sprawę, że podnosząc poprzez szkoły rolnicze postęp techniczny produkcji na wsi czyni to nieuchronnie na rzecz kulaków? I że jej przekonanie, iż „drobna własność może prosperować na dzisiejszej wielkiej maszynie kapitalistycznej tylko wtedy, gdy jest zrzeszona”, kryło dwa złudzenia? Że prosperować może drobna własność w kapitalizmie i że do zrzeszenia jej, prowadzili szkoły. Do spółek w najlepszym razie, a z reguły do rozbijania zrzeszeń przez kulackich synków, wyszkolonych rolniczo na duże gospodarstwa. Na te pytania tutaj nie odpowiadamy. Stwierdzamy tylko fakt wyraźnego w tym okresie związku inteligencji z klasą kulacką i rozpowszechnianie przez nią w środowiskach inteligencji i mieszczaństwa kostiumu i narzędzi, służących do umocnienia pozycji wiejskich kapitalistów. Ten kostium i te narzędzia: to religijność i stanowość. Do „filozofii narodowej” i „polityki narodowej”, do kultury klas oświeconych przenikną za pośrednictwem tej inteligencji mity o „wiecznym ludzie”, o jego „rasie”, „honorowości rodowej”, kulturze egzotycznej, uczuciowości religijnej, o jego krzepie, temperamentie i mocy biologicznej.

Wydać nam się, że na liście tej inteligencji wciągnąć można Karola Namysłowskiego. Jego parobczańska orkiestra w sukmanach, koncerty, w których — jak powtarzają to wszystkie współczesne recenzje — „grzmi nasza swojska, ochocza, a przy tym rzewna nuta”, wieczery, na których ze „swojskimi artystami” „nagadano się i naściskano”, bo „jak nie rozkoszować się, kiedy pocziwe kmiotki grają z takim zacięciem”. Ten „afisz”, jaki Namysłowski wymyślił przez utworzenie orkiestry włociańskiej: „brązowa sukmana, długie buty, biała okrągła czapeczka, w rękę skrzypki czarodziejskie. Postać znana: chłop z Lubelskiego”. Wyspiański pisał podobnie: „postać znana, pamiętana...” Wernyhora! O Namysłowskim zapowiadały gazety: „znowu świr, świr za kominem rozlega się w uszach i w sercach naszych”. Wyspiański zapowiedział znowu... chocholi taniec.

A recenzent koncertu ludowej kapeli określił treść tego chocholego tańca. Kiedy bowiem ogarnął go „niezwykły i wzruszający widok czerstwych, dziarskich i silnych postaci w białych sukmanach”, uznał, że jest to „coś wreszcie, co pozwala snuć marzenia o lepszej przyszłości. Niewyczerpane są bowiem zdolności w naszym ludzie, tylko trzeba umieć je wykrzesać”.

„Lepsza przyszłość” miała kiedyś zrealizować sojusznik hieny-piasta. To było i to tylko mogło być jej szczytem, skoro na wiele lat wcześniej na warszawskich, drobnomieszczańskich Dynasach tak opisywano występy Namysłowskiego orkiestry.

„Pięknie ci, bo pięknie na totych Dynasach: od wody chłodek zalatuje, że niejakiemu upału nie czujesz, po drugie piwo ci takie w restaurancie na miejscu szykują, iż jak jaksamit w gardziel idzie, a także samo pan Namysłowski, jak ci chyci pale w garść, jak rozpocznie wymachiwać, a muzyka bez samych chłopów w aliganckich białuśkich sukmanach trombiona, jak wytnie jakiego wyrwasa, to ci nawet w karpiach pływających na stawie krew się zagotuje” (Mucha).

Cóż się tu dokonało w tym przebraniu się szlachcica w sukmanę, w tym ubraniu grajków wiejskich w oświeczone kierezyje, w tym puszczeniu muzyki z „ogniem”, z „wyrwasami”, w tym narzuceniu wrażenia „całego temperamentu polskiego ludu, jego żywiołowości i humoru”?

Trzy rzeczy: 1) z pozytywizmu przedłużenie naturalistycznej teorii kultury. W grze kapeli wiejskiej chciano słyszeć tętno wiecznej ludowości. Przez dzieje całe to samo i w każdym chłopie takie samo.

2) Z narastającej w kraju półkolonialnym filozofii nacjonalizmu wydobyto **kostium sta-nowy**. I strój i muzykę ludową — „krakowiaków ci ja” — krzepy, hałasu, rzewności i samozadowolenia.

3) Wieczna ludowość i kostium stanowy nie przeszkadzały, a nawet wprost przeciwnie, pomagały, ale tylko **bogatemu chłopstwu**.

To znaczy, że upowszechnienie (między innymi przez Namysłowskiego) w górach narodowych wizji wsi, jako „wiecznej ludowości” w „stanowym kostiumie”, spychało w cień przytłaczającą większość chłopstwa od



„Brązowa sukmana, okrągła czapeczka...”

skich Dynasach tak opisywano występy Namysłowskiego orkiestry.

„Pięknie ci, bo pięknie na totych Dynasach: od wody chłodek zalatuje, że niejakiemu upału nie czujesz, po drugie piwo ci takie w restaurancie na miejscu szykują, iż jak jaksamit w gardziel idzie, a także samo pan Namysłowski, jak ci chyci pale w garść, jak rozpocznie wymachiwać, a muzyka bez samych chłopów w aliganckich białuśkich sukmanach trombiona, jak wytnie jakiego wyrwasa, to ci nawet w karpiach pływających na stawie krew się zagotuje” (Mucha).

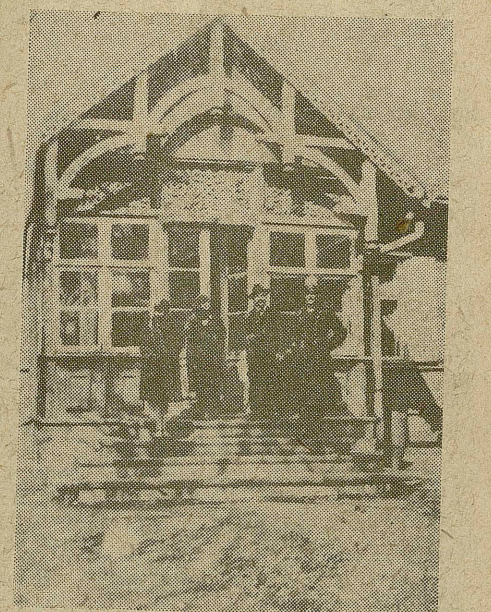
Cóż się tu dokonało w tym przebraniu się szlachcica w sukmanę, w tym ubraniu grajków wiejskich w oświeczone kierezyje, w tym puszczeniu muzyki z „ogniem”, z „wyrwasami”, w tym narzuceniu wrażenia „całego temperamentu polskiego ludu, jego żywiołowości i humoru”?

Trzy rzeczy: 1) z pozytywizmu przedłużenie naturalistycznej teorii kultury. W grze kapeli wiejskiej chciano słyszeć tętno wiecznej ludowości. Przez dzieje całe to samo i w każdym chłopie takie samo.

2) Z narastającej w kraju półkolonialnym filozofii nacjonalizmu wydobyto **kostium stanowy**. I strój i muzykę ludową — „krakowiaków ci ja” — krzepy, hałasu, rzewności i samozadowolenia.

3) Wieczna ludowość i kostium stanowy nie przeszkadzały, a nawet wprost przeciwnie, pomagały, ale tylko **bogatemu chłopstwu**.

To znaczy, że upowszechnienie (między innymi przez Namysłowskiego) w górach narodowych wizji wsi, jako „wiecznej ludowości” w „stanowym kostiumie”, spychało w cień przytłaczającą większość chłopstwa od



Fragment budynku pierwszej chłopskiej szkoły muzycznej w Chomęciskach (gm. Stary Zamość)

średniorolnego, zagrożonego rozdrobnieniem do bandosów, folwarcznych i komorników włącznie. Sprawa chłopska była, krótko mówiąc, **zalatwiona**. Drobnomieszczaństwo w chłódku na Dynasach miało piwo i pana Namysłowskiego pod ręką, aby czuć się narrodowo, z ludem, i w nocy z tej racji spokojnie spać.

Chłopom zaś na wsi, (tym biednym, biedującym i nędzą) nie pozostawało nic innego jak robić dobrą minę do złej gry.

Pan Namysłowski afiszem włociańskiej orkiestry w białych sukmanach **buńczuczyl** kulaków, bo tylko pod własnym adresem mogli zapisać „albośmy to jacy tacy...”! Siegają do spółek, kółek, sejmików i sejmu. Malują ich na obrazach, układają wiersze, pokazują w powieściach i sztukach teatralnych, dorabiają im „piastowskość”. Czegóż, do diabła, nie robią, aby w walce klasowej na wsi wspomóc i rozgrać temperament kulaków. Hossa na lud była wówczas hossa na kostium kmiecio - kapitalistycznej ekspansji. Była dla tego okresem pomoru psychicznego dla biednej wsi.

Jan Aleksander Król

RECENZJE KONCERTÓW ORKIESTRY K. NAMYSŁOWSKIEGO

Urywki*)

ROK 1884 — LUBLIN

„Tłumy zalegają salę koncertową. Dano hasło. Wszyscy się z miejsc ruszają. Widać falowanie głów, gdyż każdy chce jak najlepiej widzieć estradę. Kogóż ma na niej zobaczyć? Czy zawił do nas drugi Paganini? Może „Diabeł Hiszpański”? Nie. Wyszło ich dwudziestu w świtkach białych włociańskich i grzmi nasza swojska, ochocza, a przy tym rzewna nuta. Serce rośnie. Wszystkich oczy zwracają się z wyrazem podzięką na dyrektora, który wspólnie z innymi zarówny wywija smyczkiem. Patrząc na to małe chłopię na prawo estrady, co tak się przyuliło do swoich skrzypki i wycina od acha, niejednemu stanął w myśli biedny „Janko Muzykant”.

ROK 1886 — KALISZ

„Przeróżne towarzystwa dramatyczne i rozmaici artyści nie sprawili nigdy tak wielkiej, a powszechnej przyjemności i nigdy tak mile przez tutejszą publiczność przyjmowani nie byli, jak goszcząca obecnie u nas Orkiestra Włociańska pod dyktando p. Karola Namysłowskiego. Dwa pierwsze koncerty spowodowały tłumy słuchaczy do sali teatralnej, którzy rozkoszowali się swojską muzyką i swojskimi artystami, włociańcami przybyłymi z daleka od Zamościa. Wszyscy artyści nie zdejmują swych ubrań, w jakie ubierali się ich ojcowie i dziady. Po tych dwóch koncertach zaproszono muzyczną drużynę na skromną wieczerzę; nagadano się z nimi i naściskano, a na powszechne żądanie odbył się trzeci koncert również tłumny. Bo jak nie rozkoszować się, kiedy pocziwe kmiotki grają z takim zacięciem”.

ROK 1904 — WARSZAWA

„Dynasy, Dynasy — gra rażno muzyka, obertas, mazurek do duszy przenika, na przyszłą niedzielę zagiąłeś już parol, bo mi le czas biegnie, gdzie gra ci pan Karol...”

„Dynasy, Dynasy — sukienka różowa to mignie na wzgórzu, to znowu się schowa i próżno ślesz za nią swe myśli i oczy — co chwila ci ginie wśród kwiatnych roztoczy...”

„Dynasy, Dynasy — powolnie dzień kona — muzyka, czar nocy, poeta — i Lona... coś więcej tu dodać, coś więcej tu trzeba, by żyjąc na ziemi wrażenie mieć nieba.”

„Dynasy, Dynasy — tu w środku Warszawy, zakątek milutki, istotnie ciekawy, na przyszłą niedzielę zagiąłeś już parol, bo mi le czas biegnie, gdzie gra ci pan Karol”.

„MUCHA”

„Pięknie ci bo pięknie na totych Dynasach: od wody chłodek zalatuje, że niejakiemu upału nie czujesz, po drugie piwo ci takie w restaurancie na miejscu szykują, że jak jaksamit w gardziel idzie, a także samo pan Namysłowski, jak ci chyci pale w garść, jak rozpocznie wymachiwać, a muzyka bez samych chłopów w aliganckich białuśkich sukmanach trombiona, jak wytnie jakiego wyrwasa, to ci nawet w karpiach w stawie pływających krew się zagotuje...”

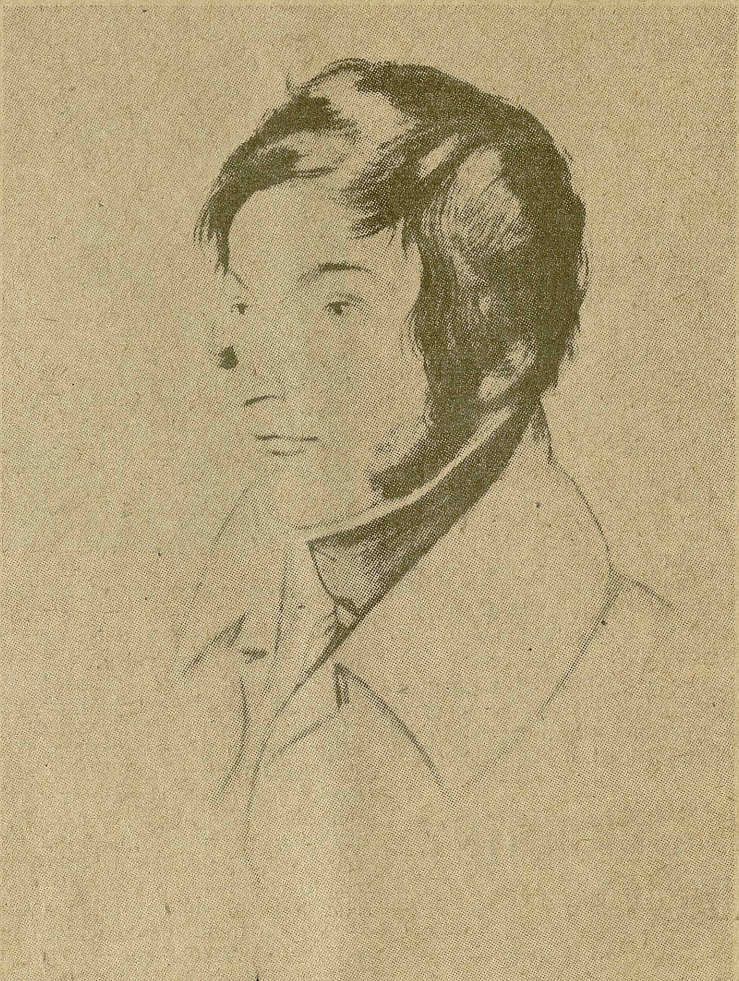
*) Fragmenty te pochodzą z przygotowanych przez Józefa Majkuta dla filmu Polskiego materiałów do filmu muzycznego o K. Namysłowskim.

*) Patrz artykuł Anny Kamińskiej: „Jak przed nami projektowano”? „Wiś”, nr. 25, 1948 r.

Tadeusz Chróścielewski

DROGA DO SŁAWY

Uwagi nad okresem rosyjskim biografii Mickiewicza



Adam Mickiewicz w 1829 r.

Portret kredkowy z natury, wykonany na życzenie Goethego przez Jana Józefa Schmellera. — Obecnie w Muzeum Goethego w Weimarze

Dla wyobraźni kraj to święty
Pylades tutaj podjął trud.
Szlachetny spór z Atrydą wiódł.
Tu przeszył mieczem własne łono
Mitydat, kiedy zdjął go szal,
Tutaj nad morzem, pośród skał
Mickiewicz śpiewał pieśń natchnioną
I o swej drodzej Litwie snuł...
Taurydo, cudne masz wybrzeża...
(Aleksander Puszkina — epilog
„Eugeniusza Oniegina”)

FILARECI, SENATOR I HISTORIA POLITYCZNA?

W pochmurny poranek 24 października 1824 r. kibitka policyjna dwiżyła z Wilna w głąb Rosji młodego zesłańcę politycznego, ex-nauczyciela szkoły powiatowej, autora nowatorskich, w polskich warunkach kulturalnych, ballad i poematów. Śledztwo udowodniło mu należenie do „spisku o szkodliwych widokach”, który miał na celu „szerzenie nierozsądnego patriotyzmu polskiego za pośrednictwem nauczania”.



N. A. Polewoj

Tradycyjne monografie życia i działalności Mickiewicza rozstrząsają zazwyczaj niezmierne szczegółowo martyrologię filaretów, samą zaś genezę uwięzienia i śledztwa sprowadzają niemal wyłącznie do złej woli senatora, który „wypadł z łaski” i chciał poprzecz zainscenizowanie wykrycia rzekomo rewolucyjnej organizacji naprawić swą reputację nad Nową. Ta melodramatyczna interpretacja narzucała czytelnikom, uczniom i studentom sugestie, że zaszedł tu jakiś wypadek oderwany, że o uwięzieniu filaretów decydowała nie określona sytuacja polityczna w określonym czasie historycznym, lecz jedynie anomalia w stylu kryminalnym — skandaliczne nadużycie rosyjskiego dygnita-

rza oświatowego. Interpretacja taka, była wynikiem bezkrytycznego przyjęcia oderwanych fragmentów III cz. „Dziadów” — (rozmowa Tomasza z Żegotą i „Sen senatora”) za pełnowartościowy, zupełnie wystarczający dokument historyczny, przy jednoczesnym pominięciu szerszego i perspektywicznego spojrzenia na epokę.

Przypatrzmy się Europie w latach i miesiącach poprzedzających ów pochmurny poranek wileński, kiedy to kibitka policyjna ruszyła z młodym zesłańcem na Wschód po cichej i pochyłej ulicy, która z czasem otrzymała nazwę ulicy Adama Mickiewicza. „Stary porządek”, jaki kongres wiedeński siłą narzucił Europie po upadku Napoleona — wskrzeszenie wszystkich monarchii i drobnych księstw feudalnych, które egzystowały w Europie przed wybuchem rewolucji francuskiej, w ich dawnych granicach, z zachowaniem dawnego, absolutystycznego (za wyjątkiem Francji i Królestwa) ustroju wewnętrznego — znajdował się od początku w poważnym niebezpieczeństwie. Był on w XIX wieku, jaskrawym, szkodliwym i niemożliwym do utrzymania na dłuższą metę anachronizmem gospodarczym, społecznym i ideologicznym — wobec postępującego rozwoju kapitalizmu, emancypacji kolejno trzeciego i czwartego stanu i wzrostu świadomości narodowej. Od r. 1819 wybuchała rewolucja w koloniach hiszpańskich w Półd. Ameryce, w samej Hiszpanii, w Portugalii, Sardynii, Neapolu, wreszcie elektryzujące Europę długotrwałe powstanie w Grecji. W całej Europie tworzyły się i narastały podziemne rewolucyjne. Narastanie jego sygnalizują liczne zabójstwa polityczne. W Paryżu dokonano zamachu stanu na delfina, w Berlinie w r. 1819 student — konspirator zaszytyłował znanego dramaturga i działacza reakcyjnego Kotzebue’a. Europę pokrywa gęsta sieć „towarzystw tajemnych” — karbonariusze, Tow. Patriotyczne w Królestwie, Związki — „Północny” i „Południowy” w Rosji. Związane ideologicznie a nierzadko i organizacyjnie z narodowymi lozami wolnomularskimi, przejęły ich strukturę organizacyjną, stopniowo wtajemniczania, ekscentryczne nazwy. W konspiracji przoduje najczęściej młodzież uniwersytecka. Światły absolutyzm udemokratyzował znacznie wyższe szkolnictwo. Przenikanie młodzieży drobnomieszczańskiej czy drobnoszlacheckiej w mury uniwersytetów stało się zjawiskiem masowym. Jednocześnie jednak struktura feodalnego państwa nie może dać młodym absolwentom szerszych możliwości awansu społecznego, zaś cenzus kulturalny pozwalał im ostrzej widzieć i rozumieć otaczającą ich rzeczywistość. Wypadki polityczne i narastanie podziemia rewolucyjnego wywołują rosnący niepokój, czujność i gwałtowną akcję represyjną wielkich i drobnych sygnatariuszów św. Przymierza.

Aleksander I „anioł ludzkości”, który do 1819 r. jeszcze kokietował Rosję i Europę niespełnionymi deklaracjami reform liberalnych, zwalczając teraz z całą energią ukrytą „szataną rewolucji bezbożnej”. Lata dwu-

1) W tych samych „Dziadach” sprawa filarecka pokazana została w kontekście daleko szerszym, p. fragment „Salon Warszawski”.

dzieste są w całej Europie okresem wyjątkowego rozbudowywania aparatu policyjnego we wszystkich jego rozgałęzieniach — w Rosji słynna III Tajna Kancelaria J. C. M. Rygoryzm i ostrość cenzury tego okresu nabiera momentami wszelkich cech hysterii²⁾. Specjalnemu nadzorowi poddane zostają w całej Europie szkoły wyższe. Na terenie Niemiec istnieje od roku 1815 oficjalny zakaz zakładania jakichkolwiek stowarzyszeń młodzieżowych przy uniwersytetach.

O uchYLENIE tego zakazu dla jednego z takich stowarzyszeń — „Deutsche Burschenschaft” na próżno interweniuje sam Goethe u Voigta i Metternicha.

W cesarstwie rosyjskim Najwyższy Ukaz nakazał w r. 1819 zamknięcie wszystkich w ogóle stowarzyszeń, bez względu na cele i charakter. Ustawa Katarzyny II o wolności nauki staje się fikcją. Każdy niemal wykład profesora poddawany jest czujnej kontroli policyjnej. Nowe programy i instrukcje Ministerstwa Oświecenia i Spraw Duchownych (nawet konserwatysta, ideolog caryzmu — Karamzin nazywał w tym czasie ową instytucję „ministerstwem zamienia”) usuwają od r. 1821 z uniwersytetów centralnych cały szereg „niemoralnych i zgubnych” dyscyplin, m. in. prawo porównawcze i historię prawodawstwa. Celem dydaktycznym studium historii politycznej miało być odtąd — wyraźnie o tym mówiły instrukcje — wykazanie wyższości rządów monarchicznych nad „przekłętą republiką”. Nauki filozoficzne miały opierać się ściśle na listach św. Pawła. Przez centralne uniwersytety Rosji, podobnie jak na zachodzie — Niemcy — przesuwa się fala aresztowań, „wilczych biletów” i procesów. Represjom podlegają nie tylko studenci, lecz i senat akademicki. W Petersburgu kurator Runicz usunął brutalnie za wolnomyślność najwybitniejsze siły naukowe uniwersytetu — profesorów Galicza i Kunicyna.

Uniwersytet Wileński pozostawał przez długi okres czasu na uboczu tych „reform”. Zawdzięczał to resztkom, malejącym już wprawdzie, wpływów w Zimowym Pałacu księcia Adama Czartoryskiego oraz, najprawdopodobniej, liczeniu się rządu z opinią Królestwa. Zdarzyło się, że w maju 1823 r. uczeń V klasy gimnazjum wileńskiego napisał na tablicy szkolnej: „Niech żyje Konstytucja 3 Maja”.

Pierwiastkowe i nie brane początkowo zbyt poważnie śledztwo, jakie pociągnęła ta dziecinna demonstracja patriotyczna, wykryło nieoczekiwanie, że nico od tego wydarzenia prowadzi wprost do jakiejś zakonspirowanej organizacji studenckiej o podejrzanym ekscentrycznym nazwie. Nic dziwnego, że fakt ten postawił na nogi cały aparat policyjny wileńskiej i zachodnio-białoruskiej guberni. Śledztwo wykazało rzeczywiste powiązanie moralistyczno-samokształceniowego programu organizacyjnego z bliżej nieuchwytnymi aspiracjami wyzwoleniczymi. Skazujące, stosunkowo nawet niskie wyroki są w kontekście historii dostatecznie zrozumiałe. Dlatego wyjaśnienia przez tradycyjną biografistykę faktu uwięzienia i wyroku machinacjami Nowosiłcowa, który pragnął się „znowu w łaskę samodzielną wkroczyć” — bez względu na to czy machinacje takie miały miejsce rzeczywiście, czy nie — są mało istotne i sprawy nie tłumaczą.

Inna zupełnie sprawa, że program wyzwoleniczy filaretów nie wyszedł właściwie jeszcze poza sferę abstrakcji, że był w tym momencie dla caratu zupełnie niegroźny i że większość skazanych przedwcześnie, nie jako awansem dostała się pod koła historii.

DWIE DROGI

W mglisty poranek 24 października 1824 r. samotna kibitka policyjna oderwała się od podmiejskiego pejzażu „Grodu Gedymina” i pomknęła po mińskim trakcie „coraz ku dzikszej krainie”. W bezbrzeżnej Białorusi mieli wodzić za nią oczyma przywykli zresztą do podobnego widoku chłopcy przydrożnych chutorów i zastanawiać się „kto w niej jedzie?” („Droga do Rosji”).

Jechał w niej prowincjonalny nauczyciel, jednocześnie autor dwóch tomików poezji, „w nowym duchu pisanych”, o których zło wieści zaczęły już nawet docierać do dalekiej Warszawy i przenikać w tamtejsze klasycystyczne salony literackie.

W pogodny poranek 15 maja 1829 r. odjeżdża z Piotropadzkiego Kronsztadu do Hamburga poeta o europejskim nazwisku. Przed rukiem już wyłotografowała jego portret paryska galeria sławnych ludzi. Za miesiąc w Berlinie z wysokości słynnej katedry zwróci się do niego oficjalnie jako do najwybitniejszego poety słowiańskiego „znakomitość nauki niemieckiej prof. Gans z propozycją napisania nowożytniej epopei o Na-

2) A. Brückner w „Geschichte der Russischen Literatur” — Berlin — 1905 r. — przytacza szereg faktów rozbudzania cenzury w omawianym okresie. Przekreślano np. metaforę „majestat przyrody”, widząc w tym liberalistyczny brak poszanowania dla władzy cesarskiej, dla której termin ten miał być jakoby wyłącznie przeznaczony. N. A. Polewoj („Historia rosyjskiej literatury” — Petersburg — 1900 r.) — pisze, że w r. 1825 cenzura odrzuciła statystyczny artykuł o samobójstwach w Rosji, wychodząc z założenia, że może on wznieść „płochę i nieczyłwe nastroje wobec dobrodziejstw rządów”.

poleonie. Przez dwa tygodnie będzie go podejmował w swej weimarskiej rezydencji bożyszcze całego kulturalnego świata, 80-letni Goethe.

Europejskie uznanie twórczości autora „Ballad i romansów” zaczęło się w Rosji. Czterdzienna droga przypadkowego zesłańca politycznego przez policyjne cesarstwo zbiega się z drogą peryferycznego romantyka wileńskiego do poważnej pozycji w romantyzmie europejskim.

Sygnałem szczęśliwego wkroczenia na tę drogę było szerokie uznanie, jakim zaczęła się cieszyć nowsza twórczość Mickiewicza w literackich i czytelniczych kręgach Moskwy i Petersburga. Miało ono ponadto co prawda i szczególne rosyjskie uwarunkowanie. Tradycyjna monografia i dawniejsze, a zawsze liczne (zainteresowanie historii tym okresem i kontaktami zesłańca z „przyjaciółmi — Moskalami” nie są bynajmniej wyłącznym zjawiskiem ostatnich lat, istnieją niemal od narodzin polskiej mickiewiczologii) studia specjalne³⁾ widziały w tych skrzętnie kolekcjonowanych dowodach uznania, jedyne ważne ze względów ambicjonalno-patriotycznych świadectwo siły oddziaływania przyrodzonego polskiego geniusza. Publikacje te zaprezentowały szczególnie silnie zakorzenioną w naszej mickiewiczologii szkołę psychologiczną. W ich ujęciu droga doświadczenia Mickiewicza do pozycji międzynarodowej była drogą bliżej nieokreślonego rozwijania się talentu. Nie widziały jej zaś w dotarciu artystyczno-ideologicznym szczególnie utalentowanego poety, przedstawiciela kraju zapóźnionego kulturalnie w wyniku specyficznego przebiegu i zapóźnień społeczno-gospodarczych, do prądów literackich reprezentowanych w danym okresie w Europie⁴⁾. Tradycyjnemu monografowi należy wskazać, że werterowska IV cz. Dziadów, konsekwentna ideologicznie, artystycznie nie stoi wiele niżej od „Sonetów Krymskich” i „Konrada Wallenroda”, a mimo to na giełdzie europejskie-



Księżna Zenaida Wołkońska

W jej to salonach Mickiewicz był — jak pisze we wspomnieniach P. Wiaziemski — jednym z najulubieńszych i najbardziej poważanych gości. Poświęcił jej znany wiersz „Na pokój grecki”.

go romantyzmu nie była omalże notowana. Należy szukać rozwiązania interesującego nas problemu drogą możliwie ścisłej konfrontacji dorobku romantyki mickiewiczowskiej do roku 1829 a reprezentatywnymi nurtami artystycznymi i ideologicznymi dwudziestych lat XIX w. w Rosji i w Europie.

PRZYBYLEC Z WILEŃSKIEGO ZACHODU

16 listopada, w przeddzień słynnego wylewu Newy, w którym mistycy w rodzaju Oleszkiewicza widzieli widomy znak rychłego upadku caratu, kibitka policyjna z dalekiego Wilna stanęła u celu podróży. „Nieznany przybylec” z wileńskiego Zachodu ujrzał po raz pierwszy ludne place i bulwary potężnej „Palmiry Północy”. To określenie „nieznany”, jakiego użył Mickiewicz w pamiętnikarskim fragmencie III cz. „Dziadów”, mówiąc o sobie z pierwszych tyg. pobytu w Petersburgu nie jest właściwie zupełnie ścisłe. Nazwisko Mickiewicza-poety nie było obce literackiemu Petersburgowi przed datą 16 listopada. Poszczególne tomiki „Bal-

3) Na potwierdzenie parę przykładów: W. Spasowicz — Mickiewicz i Puszkina pod pomnikiem Piotra, rok 1887; St. Tarnowski — Mickiewicz i Puszkina — Kwart. Hist. rok 1888; J. Tretiak — Mickiewicz w Odessie, rok 1890; Mickiewicz i Puszkina, rok 1906; J. Kleiner — Mickiewicz, Puszkina, Falkonet, 1926 r.; W. Lednicki — Puszkina, 1926 r.; Przyjacieli — Moskale, r. 1932; Bluth — Mickiewicz, Rylejew, r. 1927; praca zbiorowa — Puszkina r. 1837—1937; liczne rozrzucone po piśmie art. S. Kulakowskiego.

Wszystko, poza rozprawą Tretiaaka, która stanowi doskonały przykład ahistorycznego podejścia do literatury, ma charakter przyczynkarsko-informacyjny.

4) Sama nawet chronologia i fluktuacja kierunków romantycznych w różnych krajach nie była dla naszych wczorajszych badaczy romantyzmu zbyt przejrzysta na co ostatnio zwracał uwagę Stawar w świetnym artykule „Paradoxy romantyczne”, „Odrodzenie” — Nr. 51.

ład i romansów⁴ dotarli tu jeszcze w połowie 1822⁵), a w styczniu 1823 niezmiernie ceniony w stolicy almanach poetycki „Gwiazda Polarna” przyniósł licznym „miłośnikom literatury” zreczny przekład „Lili” i „Przy-
pomnienia”. Autorem przekładów był poeta-redaktor, Konrad Rylejew, późniejszy przywódca rewolucji 14 dekabra — polonofil. Przekłady te jednak większego zainteresowania nie wzbudziły, przeszły przez opinię literacką i czytelniczną niemal bez echa. Nie mówią nic o nich liczne (specyficzna cecha okresu — spadek obyczajowy po sentymentalizmie) memoiry i korespondencja literacka tego czasu. A przecież czytelnik: ziemianin, emancypujący się powoli bourgeois, „niepotrzebny” inteligent, chyba jako urzędnik „niższych czynów”, którego samodzierżawny reżim po krótkotrwałym okresie reformistycznym (1801—10) zdecydowanie odsunął od współodpowiedzialności w sprawach państwa, żywo interesował się literaturą i jej nowościami zagranicznymi⁶). Wyjątek stanowi pochlebna notatka czołowego romantyka starszego pokolenia Zukowskiego. Ale zainteresowania Zukowskiego w tym czasie nie są już równoznaczne z zainteresowaniami literackimi okresu. Stale ten sam, romantyk sentymentalny (preromantyk), który ołsnął w poprzednim dziesięcioleciu rosyjską opinię literacką swymi „narodowymi” balladami — „Świeciana” i „Ludmiła”, w dwudziestych latach znacznie stracił na popularności.

O Mickiewicz-poezie wiedzano więc nad Nową, tym niemniej nie zainteresowano się nim żywiej.

Czytelnik tradycyjnej monografii ma wszystkie dane po temu, by wierzyć święcie, że stosunek ten zmienił się z miejsca radykalnie już w czasie krótkotrwałego pobytu Mickiewicza w białej stolicy. Czyta przecież, że już w grudniu zbliża się do poety grupa młodych pisarzy, głównie współpracowników „Gwiazdy Polarnej” — wśród nich sam Rylejew. Jednak zbliżenie się niedawnego tłumacza do autora nie może, naturalnie, służyć za dowód wzrostu popularności Mickiewicza na terenie rosyjskim, a zainteresowanie się autorem „Ballad i romansów” ze strony reszty grupy „Gwiazdy” wynikało zaś właściwie z pobudek czysto politycznych⁷). Grupa ta stanowiła aktyw rewolucyjnego Związku Północnego, który organizując przewrót zaczął nawiązywać w roku 1824 kontakty z polskim podziemiem. Grupę zainteresował bliżej nie poeta, lecz działacz tajnych kół młodzieżowych, człowiek o zbliżonych przekonaniach politycznych, osobistość popularna „w swoim narodzie”⁸). Owocem tego zbliżenia była nie garść nowych przekładów czy artykuł elektryzujący opinię literacką faktem przybycia czołowego romantyka polskiego, lecz — jak to stwierdziły ostatnie badania radzieckich mickiewiczologów — powierzenie autorowi „Lili” funkcji łącznikowych na południu.

Od czasu owych nieliterackich „przyjaźni” w Petersburgu przez okres niemal dwóch lat — w tym rok spędzony w Moskwie — mieście bogatym w kopuły cerkiewne, piśma i literatów — aż do października 1826 r. nie znajdujemy w biografii Mickiewicza żadnych danych, które by świadczyły o jakimś głębszym zainteresowaniu się nim jako poetą w rosyjskich sferach literackich.

Grupa „Gwiazdy Polarnej” została po nieporadnej rewolucji „carskimi wyrokami” wykreślona z listy żyjących lub zesłana „w katorżne kaźnie”. W okresie tych dwóch lat bibliografia mickiewiczianów na terenie Rosji nie notuje żadnych nowych pozycji.

LAUR AJUDAHU

I nagle pod datą 29 października biografia informuje nas dość nieoczekiwanie, że Mickiewicz uczestniczył w „chrzcinach” nowego moskiewskiego pisma literackiego, „Moskiewskij Wiestnik”, które właśnie zakłada Puszkina z grupą młodych literatów-intelektualistów — „lubomudrów” (miłośników mądrości). Na uroczystość tę zaproszono jedynie kilka osób — wyłącznie najpoważniejsze pióra i nazwiska.

Fakt ten skłania nas do uważniejszego przyjrzenia się biografii nieco wstecz od tej daty. Powiadania nas ona, że Mickiewicz starał się o wydanie „Sonetów Krymskich”, które rzeczywiście 26 października otrzymały nieczęsto stawianą pieczęć „dozwolono cenzurze”. Nieobeznany w stosunkach panujących w carskiej cenzurze udał się — jak zwykle czynią debiutanci — po radę i pomoc do doświadczonych i uznanych literatów — Polewoja i Bułgarina. Od miesiąca już rękopisy sonetów musiały kraść po gabinetach „dzieci Apollina” i salonach wpływowych impresariów. Od października popularność Mickiewicza na gruncie literackim wzrasta w tempie wprost błyskawicznym. Monografia przytacza dziesiątki dowodów tej popularności, która dochodzi niejednokrotnie

granic uwielbienia. Biografia przesuwając raz przed nami barwną panoramę spotkań wypełnionych dymem fajkowym, wieczorów dyskusyjnych w ubogich i dostatnich mieszkaniach literatów i inteligentnych intelektualistów. Wprowadza nas w niekończące się debaty różnego odcienia liberałów na tematy literatury i życia, związków między Rosją i Słowiańszczyzną, idealnych reform społecznych, wzajemnego stosunku świata nadzwyczajnego i materii. Dyskusję toczą oderwani od bezpośredniego oddziaływania na rzeczywistość idealisci i marzyciele — zdeklarowani melancholicy i wierzący wbrew nadziei marzyciele-optymiści. Wyrazy uznania dla „wkrótce już, autora wybitnie niebezpiecznego, rewolucyjnego „Konrada Wallenroda” padają ze strony zgoda dla nas nieoczekiwanej — ze strony oficjalnych literatów carskiego reżimu — Bułgarina, Griecza. Uznaniu, przyjaźniom i triumfalnemu wejściu w życie literackie Moskwy towarzyszy szybki awans towarzyski drobnego urzędnika Gen. Gubernatorstwa w wielkoświatowych modnych salonach.

Biografia wprowadza nas z Mickiewiczem pod blask kandelabrowy, w gwar umiarkowanej liberalnych pompejańskich salonów księżny Zenaidy Wołkońskiej, osoby, której wykształcenie, manery, smak artystyczny i bogactwo uwielbiała cała Europa. Do urzędnika bardzo mizernego „czynu” zbliża się generał-gubernator Moskwy, wpływowy książę Golicyn, przed kilku laty najwplywowszy człowiek Rosji. Gdy za pół roku opuszcza Mickiewicz „Białokamienną”, udając się nad Nową w Petersburgu — jak pisze były filaret Malinowski — „przyjazd jego wywołał niezwykłą sensację”. Rosjanie i Polacy na wysięgi śpieszą okazać mu swój szacunek. „U nas tu — pisze — nieustannie karnawał, obiady następują jeden po drugim, przyjmować zaproszeń Mickiewicz nie nadaje”.

Jak wytłumaczyć tę nagłą, niesłychaną popularność zapoznanego do niedawna Mickiewicza w rosyjskich kołach literackich, szybki awans na terenie życia towarzyskiego w stałowej i hierarchicznej Rosji? Bez wątpienia odgrywał tu pewną rolę urok towarzyski „nieśmiałego” jakoby — według sentymentalnej monografii (Kallenbach) — poety. „Kto

tylko poznał z bliska Mickiewicza, ten musiał go pokochać” — pisze we wspomnieniach redaktor „Moskiewskiego Telegrafu” (Polewoj). Sprowadzać przyczynę popularności wybitnego poety do walorów causer’a jest absurdem. A zresztą popularność Mickiewicza bynajmniej nie maleje w następnym pokoleniu literackim, które zna już go wyłącznie z utworów — Bieliński, Lermontow, Gogol, Hercen, Turgieniew.

Przyjrzyjmy się dokumentom — dla historyka literatury i jej społecznego oddziaływania — zasadniczym, jakimi są mickiewicziana rosyjskie, poczynając od wspomnianych już wyżej przekładów Rylejewa. Otwiera je w lutym 1827 roku obszerny artykuł o twórczości Mickiewicza w najpoważniejszym naówczas piśmie literackim Rosji — „Moskiewskim Telegrafie”, organie lojalnych liberałów. Wyszedł on spod pióra głównego publicysty czasopisma ks. Piotra Wiazemskiego. Czytamy w nim m. in.: „Mickiewicz należy do małej liczby wybranych, którzy mają szczególne prawo przedstawiać sławę literatury swoich narodów. Zdaje się, że można śmiało powiedzieć, że należy mu się zaszczytne miejsce we współczesnym pokoleniu poetów”. Dla pełnego umotywowania tego sądu zamieszcza obok artykułu własny przekład reprezentacyjnego, według niego utworu. Jest to pełny przekład prozą 18 Sonetów Krymskich. Rok 1828 przynosi kolejno nowe przekłady: „Stepy Akermańskie”, „Żegluga”, „Bachczysaraj”, w najpopularniejszym od zamknięcia „Gwiazdy Polarnej” (przestała wychodzić po 14 dekabra) almanachu „Kwiaty Północne” — Illiczewski, Wasil Szczasnyj w „Albumie Północnych Muz” (Petersburg) ogłasza dla odmiany tłumaczenia „Czatyr-dachu”, „Ałuszy” i „Ciszy morskiej”. Niemal każdy miesiąc przynosi jakieś nowe przekłady. Intelktualny przywódca „lubomudrów” — Szewyriew odkłada na szereg dni lancet krytyka i publicysty i łamie się jako tłumacz z oporną strofą „Ruin zamku w Bałakławie”.

Nieszczęśliwy poeta ślepiec, Jan Kozłow, najbardziej utalentowany obok Zukowskiego tłumacz romantyków zachodnich, daje cenne, jakkolwiek nie zawsze utrzymane w rygorach sonetu, tłumaczenia całego cyklu. Niespo-

sób wymieniać wszystkiego. Przekłady opisu „boskiej Taurydy” ciągną się i przez lata trzydzieste. Łańcuch ten kończy się dopiero wraz z wygaśnięciem okresu literackiego⁹). Jeszcze w roku 1840, na rok przed swą tragiczną śmiercią na Kaukazie, przekłada „Widok gór ze stepów Kozłowa” ostatni z wielkich romantyków rosyjskich — Michał Lermontow.

W pierwszych miesiącach 1828 r. Puszkina otwiera tłumaczeniem „Prologu” cyklu tłumaczeń fragmentów „Konrada Wallenroda”, (Poznański zamieszcza w almanachu „Pierwiosnek”, „Alpuhare”, Lubicz-Romanow przekłada „Wilę” i „Pieśń Wajdeloty” itd.).



Winieta almanachu „Gwiazda Polarna” red. w latach 1822—25. Tu w r. 1823 pojawiły się pierwsze na terenie Rosji przekłady wierszy Mickiewicza

Dużą ilość tłumaczeń uzyskuje, również jak sonety orientalny, „Farys”. Znamienne jest, że dawniejszy dorobek poetycki odkrytego i tak niezwykle popularnego romantyka, nadal nie znajduje prawie miejsca w rosyjskich czasopiśmie literackich i zbiorach poezji. Dopiero w 1829 r., kiedy mamy już całe wiązania tłumaczeń sonetów i nawet, dopiero w 1828 napisanego „Farysa”, pojawiają się w „Moskiewskim Telegrafie” fragmenty II części „Dziadów” i „Kurhanku Maryli” i to niemal wszystko.¹⁰)

Tym bardziej uderza nas fakt, że przy niepopularności dawnego dorobku, również na terenie krytyki rosyjskiej, krytyka ta teraz z miejsca umieszcza Mickiewicza w panteonie najwybitniejszych twórców świata, między Szekspirem, Goethem, Byronem, Moorem, Schillerem — Szewyriew w recenzji o „Manfredzie” — „Wiestnik” 1828, J. Kiriejewskij — późniejszy główny ideolog stronnictwa „słowianofilów” w „Telegrafie”.

Podstawę do tych sądów daje krytykom jedynie ocena sonetów i „Konrada Wallenroda”, gdy tymczasem my europejską wielkość Mickiewicza skłonni jesteśmy mierzyć dopiero utworami późniejszymi.

Uderza nas w tym całym zjawisku — popularność towarzyska, rekordowa ilość tłumaczeń, wysoki i przedwczesny osąd krytyków — szczególna rola sonetów — zbioru, który obecnie i w Polsce odczuwamy jako utwór raczej blady, interesujący jedynie ze względu na plastykę opisu. Czym wytłumaczyć to zjawisko?

Czy tym, że — jak często podaje tradycyjna monografia — Mickiewicz spoglądając na fale z „Judahu skały”, poczuł w sobie odzwierciedlenie dla kochanki lat dawnych i to pozwoliło rozwinąć się abstrakcyjnemu talentowi w stopniu jeszcze silniejszym?

Fakt uznania czy nieuznania wybitnego utworu artystycznego warunkuje nie psychologia twórczości, lecz socjologia literatury.

Jeżeli „Ballady i romanse” czy „Dziady” — zupełnie odmiennie niż w Polsce — nie odbiły się szerszym echem w rosyjskim życiu literackim, znaczy to, że były obce ówczesnym zainteresowaniom ideologicznym i artystycznym Rosji i rosyjskiego czytelnika. Fakt, że sonety momentalnie znalazły w Petersburgu i w Moskwie entuzjastycznego odbiorcę i zapoczątkowały tam sławę poety świadczy, że trafiły i na odpowiedni teren, i na szczęśliwy dla siebie moment historyczny w życiu Rosji.

C. d. n.

Tadeusz Chrościelewski

Jerzy Welenczyk

DROGA

Drogi losu znaczone na ludzkiej dłoni
to czarne rozwidlenia gałęzi
które kończą się nagle
nierozdzielane z szat niepewności
Drogi gotowe do odjazdu
oddychające swym przyszłym przedłużeniem
wianiem echa buńczącego przydrożne kamienie
które gromadzą na swych piersiach ptaki
rozkładające równomierne spojrzenia
i ruchem skrzydeł udzielające nowego błogosławieństwa
zwracając ziemi co ziemskie

Dobrze jest mieć pieśń milionów przy sobie
która już więcej nie opiera się o drogi
znaczone na ludzkiej dłoni
będące nieraz niespodziewanie
kończącymi się rozwidleniami gałęzi
ale na dłoni, która nigdy nie wystygnie
i młotów nie zanurzy w rzece zapomnienia
ale na czekającej wszystkimi pięcioma palcami
by skargę gdziekolwiek się pojawi
wepchnąć w gardziele sprawców
i by jedynie w piosnce tych
co po nas przyjdą
przesączała się z czasu
który nigdy nie powróci
i udzielała otuchy
sercom i dłoniom

* * *

Blask przesiąka ślady Twoich kroków
Wieczór gniazdo ujeżdżone na sen ruchu
Miasto ćwiekami latarni przybite do ziemi
Płetwy lamp wysiłgują się ciężarowi mroku

Studnię po studni
komin po kominie
napętnia rosnąca głuśza
pod niebo paki wypuszcza
wyskakując wskazówka z cyfry
Wskazówka ostrzy się na obracającym dobie cyferblacie
Ulica owinęła się wokół latarni
Cisza owinęła się wokół oczu
Za księżycem ukryło się niebo

W parku pierwszego spotkania
na starej ławce
powracają oczy
obok których nic nie widzisz
powracają usta
przy których chcesz być wcześniej
niż każda sekunda
Pamięć ocalała je po ciemku
Nie wiesz co się dzieje w jej snach
To pada kolor jej włosów
szesany z kędzierów
Otwórz niebo nad nami
które nosisz w małej rączce

Nadciąga szelest krwi

4) List Zana do Mickiewicza, z Petersburga, 1822 r.

5) P. fragment znanego listu Odyńca do Mickiewicza z r. 1826: „Zostaliśmy o cały wiek w literaturze. Tutaj każdy nowy wierszyk Goethego obudza powszechny entuzjazm, zaraz jest tłumaczony i komentowany. Każdy nowy romans Walter Scott’a natychmiast w obiegu”. Uwagi te są zupełnie aktualne również w odniesieniu do lat 1822—4. Rząd, o ile cenzura nie dopatrywała się w rosyjskim czy obcym utworze akcentów politycznych ustosunkowywał się do żywych zainteresowań literackich społeczeństwa raczej przychylnie; w pewnym stopniu odwracały one uwagę od bieżącego życia politycznego.

6) Dokładnie odzwierciedla ten właśnie stosunek grupy do Mickiewicza list red. „Gwiazdy” — Bes-tuzewa, polecający Mickiewicza „wtajemniczonemu” poecie z Południa — Tumańskiemu.

7) Polewoj, liberal, pierwszy w dziejach społecznych Rosji publicysta — mieszczanin, wielki przyjaciel Mickiewicza. „Moskiewski Telegraf” był w latach 1825—1834 najpoważniejszym piśmie literackim Rosji. Początkowo cieszył się jak najlepszą „opiniami” ze strony czynników rządzących. Wkrótce jednak zaczęło mu zarzucać „działalność jakobińska” — popularyzacja teorii ekonomicznych Smith’a i Humboldta. Polewoj zostaje aresztowany, pismo zaś zamknięte.

8) Warto przy okazji zaznaczyć, że parnasizm rosyjski przeprowadza w latach siedemdziesiątych renesans „Sonetów Krymskich”, m. in. doskonałe tłumaczenia Anastazego Feta. Lecz to już zjawisko zupełnie inne.

9) Ballady „Czaty” i „Trzech Budrysów”, które, jak wiadomo, przełożył w r. 1833 A. Puszkina, powstały już w okresie pobytu w Rosji; od młodzieńczych ballad kowieńskich różnią się ideologicznie i artystycznie.

Włodzimierz Lenin

ZE „SZKICU TEZ W KWESTII ROLNEJ” *)

1. Jedynie proletariat miejski i przemysłowy, kierowany przez partię komunistyczną, może wyzwolić masy pracujące wsi od ucisku kapitału i wielkiej własności obszarnej, od ruiny i od wojen imperialistycznych, zawsze nieuchronnych przy zachowaniu ustroju kapitalistycznego. Dla mas pracujących wsi nie ma innego ratunku poza sojuszem z proletariatem komunistycznym, poza ofiarnym poparciem jego rewolucyjnej walki o zrzucenie jarzma obszarników (wielkich właścicieli ziemskich) i burżuazji.

Z drugiej strony, robotnicy przemysłowi nie mogą spełnić swojej światowej, historycznej misji wyzwolenia ludzkości od ucisku kapitału i od wojen, jeśli będą zasklepiali się w ramach interesów wąsko-cechowych, wąsko-zawodowych, i zadowoleni z siebie po-przestawiać będą na troskach i zabiegach o poprawę swoich, niekiedy znośnych, mieszczańskich warunków bytu.

Tak właśnie często zachowuje się w wielu przodujących krajach „arystokracja robotnicza”, która stanowi podstawę rzekomo socjalistycznych partii II Międzynarodówki, reprezentujących w rzeczywistości najbardziej zaciekle wrogów socjalizmu, jego zdrajców, mieszczańskich szowinistów, agentów burżuazji wewnątrz ruchu robotniczego. Proletariat stanowi klasę rzeczywiście rewolucyjną, działającą rzeczywiście na sposób socjalistyczny, jedynie pod tym warunkiem, że występuje i postępuje jako awangarda całego ludu pracującego i wyzyskiwanego, jako wódz w jego walce o obalenie wyzyskiwaczy, to zaś jest niewykonalne bez wnie-sienia walki klasowej na wieś, bez zjednoczenia mas pracujących wsi wokół komunistycznej partii proletariatu miast, bez wychowania tych mas przez proletariat.

2. Pracujące i wyzyskiwane masy wsi, które proletariat miast powinien poprowadzić do walki, w każdym zaś razie przeciwnie na swoją stronę, reprezentowane są we wszystkich krajach kapitalistycznych przez następujące klasy:

Po 1-sze, przez proletariat rolny, robotników najemnych (kontraktowych, sezonowych, dniówkowych), zdobywających sobie środki do życia pracą najemną w kapitalistycznych przedsiębiorstwach rolnych. Samodzielna, wyodrębniona spośród innych grup ludności rolniczej, organizacja tej klasy (i polityczna, i wojskowa, i zawodowa, i spółdzielcza, i kulturalno-oświatowa itd), wzmożona propaganda i agitacja wśród tej klasy przeciwnie jej na stronę Władzy Radzieckiej i dyktatury proletariatu stanowi podstawowe zadanie partii komunistycznych we wszystkich krajach.

Po 2-gie, przez pół proletariuszy, czyli chłopów parcelowych, tj. tych, którzy zdobywają sobie środki do życia częściowo pracą najemną w kapitalistycznych przedsiębiorstwach rolnych i przemysłowych, częściowo — pracując na własnym lub wydzierżawionym skrawku ziemi, dostarczającym ich rodzinom jedynie pewnej części artykułów żywnościowych. Ta grupa wiejskiej ludności pracującej jest bardzo liczna we wszystkich krajach kapitalistycznych; jej istnienie i jej szczególną sytuację zamazują przedstawiciele burżuazji oraz żółci „socjaliści”, należący do II Międzynarodówki częściowo świadomie oszukując robotników, częściowo ślepo poddając się rutynie filisterskich poglądów i płacząc tę grupę z całą masą „chłostwa” w ogóle. Taki sposób burżuazyjnego ogłupiania robotników najbardziej rzuca się w oczy w Niemczech i we Francji, poza tym w Ameryce i w innych krajach. Przy należytych postawieniu pracy przez partię komunistyczną, grupa ta stanie się jej niezawodnym zwolennikiem,

*) Lenin napisał „Szkic tez” w początku czerwca 1920 r.



Włodzimierz Lenin

gdyż położenie takich proletariuszy jest bardzo ciężkie, i wygrana, jaką dla nich przedstawia Władza Radziecka i dyktatura proletariatu, jest olbrzymia i natychmiastowa.

Po 3-cie, przez drobne chłopstwo, tj. drobnych rolników, władających na podstawie prawa własności lub dzierżawy takimi niewielkimi działkami ziemi, że po zaspokojeniu potrzeb swojej rodziny i swojego gospodarstwa nie uciekają się oni do najmu obcej siły roboczej. Warstwa, jako warstwa, „bezwzględnie” wygrywa wskutek zwycięstwa proletariatu, które przynosi jej od razu i całkowicie: a) zwolnienie od opłaty czynszu dzierżawnego, lub od oddawania połowy plonów (np. metayers, połownicy we Francji, również we Włoszech i in.) na rzecz wielkich właścicieli ziemskich; b) zwolnienie od długów hipotecznych; c) wyzwolenie od wielorakich form ucisku i zależności od wielkich właścicieli ziemskich (obszary leśne i ich użytkowanie itp.); d) natychmiastową pomoc ich gospodarstwom ze strony proletariackiej władzy państwowej (umożliwienie korzystania z narzędzi rolniczych i częściowo z zabudowań w wywłaszczonych przez proletariat wielkich gospodarstwach kapitalistycznych, natychmiastowe przekształcenie przez państwową władzę proletariacką spółdzielni wiejskich i zrzeszeń rolnych z organizacji, służących przy kapitalizmie przede wszystkim bogatym i średnim chłopom, na takie, które będą udzielały pomocy przede wszystkim biedocie, tj. proletariuszom, półproletariuszom, drobnym chłopom itp. i wiele innych korzyści).

Równocześnie partia komunistyczna powinna sobie wyraźnie uświadomić, że w okresie przejściowym od kapitalizmu do komunizmu, tj. w czasie dyktatury proletariatu, w warstwie tej są nieuchronne, przynaj-

mniej częściowo, wahania w stronę niczym nieograniczonej wolności handlu i wolności wykorzystywania praw własności prywatnej, gdyż warstwa ta, będąc już (choć w niewielkim stopniu) sprzedawcą artykułów spożywczych, zdemoralizowana jest przez spekulację i nawyki własnościowe. Jednakże przy stanowczej polityce proletariackiej, przy całkowicie zdecydowanym rozprawieniu się zwycięskiego proletariatu z wielkimi właścicielami ziemskimi i bogatymi chłopami, wahania tej warstwy nie mogą być znaczne i nie są w stanie zmienić faktu, że na ogół będzie ona po stronie przewrotu proletariackiego.

3. Razem wzięte trzy wskazane wyżej grupy ludności wiejskiej we wszystkich krajach kapitalistycznych stanowią jej większość. Dlatego powodzenie przewrotu proletariackiego nie tylko w miastach, lecz również na wsi jest całkowicie zapewnione. Pogląd przeciwny jest szeroko rozpowszechniony, lecz utrzymuje się, po pierwsze, jedynie wskutek systematycznego oszustwa, uprawianego przez naukę burżuazyjną i statystykę, które za pomocą wszelkich środków przesłaniają głęboką przepaść oddzielającą wymienione klasy na wsi od wyzyskiwaczy, obszarników i kapitalistów, jak również pół-proletariuszy i drobnych chłopów z jednej strony, od bogatych chłopów, z drugiej; po wtóre, utrzymuje się on wskutek nieumiejętności i niechęci bohaterów żółtej, Drugiej Międzynarodówki i zdeprawowanej przywilejami imperialistycznymi „arystokracji” robotniczej — królów przodujących, niechęci do prowadzenia rzeczywiście proletariacko-rewolucyjnej propagandy, agitacji, pracy organizacyjnej wśród biedoty wiejskiej; cała uwaga oportunistów obracała się i obraca wokół wynajdywania dróg teoretycznej i praktycznej ugody z bur-

żuazją, między innymi z bogatym i średnim chłopstwem, nie zaś wokół rewolucyjnego obalenia rządu burżuazyjnego i burżuazji przez proletariat; po trzecie, utrzymuje się wskutek upórcozowego, zakorzenionego już przesądu (związane ze wszystkimi przesądami burżuazyjno-demokratycznymi i parlamentarnymi), niepojmowania prawdy, która została całkowicie udowodniona przez marksizm pod względem teoretycznym i całkowicie potwierdzona przez doświadczenie rewolucji proletariackiej w Rosji, a mianowicie: że niesłychanie zahukana, rozdrobniona, zgnębiona, skazana we wszystkich najbardziej przodujących krajach na półbarbarzyńskie warunki bytu ludność wiejska wszystkich trzech wskazanych kategorii, będąc pod względem ekonomicznym, społecznym i kulturalnym zainteresowana w zwycięstwie socjalizmu, może zdecydowanie poprzeć proletariat rewolucyjny dopiero po zdobyciu przez ten władzy politycznej, dopiero po zdecydowanym rozprawieniu się przez ten z wielkimi właścicielami ziemskimi i kapitalistami, dopiero po tym, gdy ci zgnębieni ludzie zobaczą w praktyce, że mają zorganizowanego wodza i obrońcę, dostatecznie potężnego i nieugiętego, by pomagać i kierować, by wskazać słuszną drogę.

4. Przez „średnie chłopstwo” w sensie ekonomicznym rozumieć należy drobnych rolników, którzy posiadają na prawach własności lub dzierżawy również niewielkie działki ziemi, takie jednak, które po 1-sze, w warunkach kapitalizmu zapewniają z reguły nie tylko skąpe utrzymanie dla rodziny i gospodarstwa, lecz stwarzają także możliwość utrzymywania pewnej nadwyżki, mogącej przynajmniej w lepszych latach przekształcić się w kapitał, po 2-gie, ci drobni rolnicy uciekają się dość często (na przykład każde gospodarstwo spośród dwóch lub trzech) do najmu obcej siły roboczej. Jako konkretny przykład średniego chłopstwa w przodującym kraju kapitalistycznym może posłużyć w Niemczech, według spisu z 1907 roku, grupa gospodarstw od 5 do 10 hektarów, w której liczba najętych robotników rolnych wynosi w przybliżeniu trzecią część łącznej liczby gospodarstw tej grupy. We Francji, gdzie bardziej rozwinięte są uprawy specjalne, na przykład uprawa winnic, wymagająca szczególnie wielkiego nakładu pracy na roli, odpowiednia grupa korzysta z cudzej najemnej siły roboczej prawdopodobnie w rozmiarach nieco szerszych.

Rewolucyjny proletariat nie może sobie stawiać za zadanie — przynajmniej w najbliższej przyszłości i w początkowej okresie dyktatury proletariatu — przeciwnie tej warstwy na swoją stronę. Powinien on ograniczyć się do zadania neutralizowania jej, tj. do tego, aby nie udzielała czynnego poparcia burżuazji w jej walce z proletariatem. Wahania tej warstwy między jedną a drugą siłą są nieuniknione i na początku nowej epoki przeważająca jej tendencja w rozwiniętych krajach kapitalistycznych będzie po stronie burżuazji. Przeważa bowiem tutaj światopogląd i nastroje posiadaczy; zainteresowanie w spekulacji, w „wolności” handlu i własności jest bezpośrednie; antagonizm w stosunku do robotników najemnych jest bezpośredni. Zwycięski proletariat przyniesie tej warstwie niewątpliwą poprawę jej położenia, znosząc czynsz dzierżawny i hipoteki. W większości krajów kapitalistycznych władza proletariacka bynajmniej nie powinna przeprowadzać natychmiastowego, całkowitego zniesienia własności prywatnej i w każdym razie gwarantuje ona, że zarówno drobny, jak średni chłop nie tylko zachowa swą działkę gruntu, lecz również powiększy ją do rozmiarów całego zazwyczaj dzierżawionego przez niego obszaru (zniesienie czynszu dzierżawnego).

Posłuchajcie, co chciałby zrobić ze swoją gminą Wasz kolega agronom — bogacz wiejski.

2. GOSPODARKA RÓŻNYCH KLAS

„Przedsiębiorcy”

Jego nazwiska podawać tu nie będę. Nie o niego mi chodzi. Ważne jest to, że tacy jak on są pośród Was i, że takich jest wśród chłopów wielu. Ten agronom na ponad 10-cio hektarowym gospodarstwie będzie tylko reprezentował wszystkich jemu podobnych.

Przed wojną pełnił — proszę Was — funkcję prezesa rady nadzorczej, a później był gospodarzem spółdzielni. W czasie wojny i okupacji pracował jako agronom. W ubiegłym roku piastował urzędy: prezesa koła Z. S. Ch. w rodzinnej wsi, wiceprezesa gminnego koła Stowarzyszenia Ludowego i członka gminnej komisji do sprawy współzawodnicstwa pracy w rolnictwie. Poza tym działa jako agronom. Działalność społeczna — jak widziecie — z samego tylko opisu godności — bardzo szeroka. A i wpływ na chłopów musi mieć niemały.

Ten 10-cio hektarowiec uważa, że rządy nad gromadami powinni sprawować wybitniejsi, bogatsi chłopci. Bo, że w jego gminie jest spółdzielnia Z. S. Ch., koło S. L.-u, czy organizacje młodzieżowe, zawdzięcza się je-

M. Sław Jazdzyński

ROZMOWY Z AGRONOMAMI

Podstawę do rozmów stanowią odpowiedzi agronomów gminnych Związku Samopomocy Chłopskiej z terenu województwa łódzkiego na ankietę skierowaną do nich przez redakcję tyg. „Wieś”. Ankietę rozesyłaliśmy wczesną wiosną ubiegłego roku, a więc w czasie, kiedy bitwa o chleb rozgrywana przez nasze rolnictwo, rozgorzała na dobre. Agronomom gminnym wyznaczono w tej bitwie poważne zadanie. Mówiąc krótko — mieli oni podnieść wydajność produkcji rolnej i planowo ją zorganizować.

Ankieta nasza miała funkcję wywiadowczą. Chodziło nam o to, abyśmy mogli się na podstawie wypowiedzi zorientować, kim są agronomowie gminni i jakie zgłaszają plany gospodarcze dla swoich gmin, jak wyobrażają sobie pomyślne rozegranie bitwy o chleb.

Zebrałiśmy ponad 100 odpowiedzi, przy czym wszystkie powiaty województwa łódzkiego były co najmniej przez kilka ankiet reprezentowane. Uzyskany materiał nie tylko orientuje dostatecznie w planach gospodarczych postawionych przez agronomów, ale pozwala określić społeczno-gospodarcze ich konsekwencje, pozwala ustalić klasowy charakter tych planów.

1. SENS POWROTU

Wasze zyciorysy, koledzy agronomowie, czyta się z prawdziwym zdumieniem. Wszy-

scy jesteście chłopami, ale tylko znikoma część spośród Was (zaledwie 20 na przeszło 100) nie opuszczała swoich rodzinnych wiosek, bez przerwy pozostawała na gospodarstwie. Zdecydowana większość, często w bardzo młodym wieku, wyruszyła „w świat” szukać pracy. Stąd też nie ma chyba takiego zawodu, którego nie dałoby się odczytać w Waszych zyciorysach.

Dozorcy domów po miastach, czeladnicy szewscy, urzędnicy z poczty wiejskich, pisarze gminni, dworscy ogrodnicy, stróża po fabrykach, robotnicy z kopalni i tartaków — to Wasze poprzednie zawody. Jest wśród Was dawny malarz pokojowy, jest i taki, który w swoim życiu był już drogomistrzem, kapralem w wojsku, robotnikiem betoniarским i ekspedientem w sklepie kolonialnym — a ma dopiero 33 lata.

Jesteście chłopskimi tułaczami, z ciężkich dla naszej wsi — przedwojennych lat. Właśnie nędza z tamtych lat zawdzięczać swoje wędrówki od zawodu do zawodu. Szukaliście rozpaczliwie zajęcia, chwytały się każdej pracy, jaką los nawinał. Nie można było wtedy inaczej. Szanse na egzystencję w przeludnionych wsiach — prawie żadne. Na rodzinnej parceli grunt szybko uciekał spod nóg. Działy rodzinne, długie hipoteczne zabierały ziemie kawałek po kawałku. Nasz niedorozwinięty przed wojną przemysł wchłaniał znikomy odsetek zbędnej na wsi ludności. To

stał ta tułaczka od jednego zajęcia do drugiego.

Czytam ze wzruszeniem, jak to poza rodzinną wsią szukało pracy kilku radykalnych wiciarzy i „wyzwoleńców”. Jak szukał jej dawny robotnik folwarczny K.P.P.-owiec.

No, ale po wojnie ściągnęliście znowu na rodzinne wsie i chcecie dla nich pracować. Myślę, że powróciliście dlatego, ponieważ przekonaliście się, iż jest teraz w Ludowej Polsce miejsce na wsi dla Was i dla Waszej pracy. Zapewne chcecie teraz tak pokierować gospodarką w gminach, aby ten Wasz przedwojenny los nie powtórzył się więcej na następnych pokoleniach chłopskich.

Są pośród Was różni ludzie. Są tacy, których nie wyrzucała nędza w świat za zarobkiem — bogaci chłopci, dawni rządcy dworscy, obecnie również agronomowie.

Piszę o tym dlatego, że ci bogaci inaczej chcieliby gospodarować niż biedni, chociaż razem z wiejską biedotą przechodzili te same kursy samopomocy dla agronomów. Oni mają taką samą, albo nawet większą wiedzę fachową z zakresu rolnictwa. Ale wiedza to jeszcze nie wszystko. Wiedzy można używać w interesie bogaczy wiejskich, jak również w interesie średniaków i drobnorolnych. A to przecież nie jest to samo. Bo interesy biednych są inne niż bogatych chłopów. Stąd tak ważna jest Wasza postawa społeczna.

mu: „Wysokom kilku działaczy z okolicznych wiosek”. Uważa dalej, że w gospodarce rolnej działa najlepiej **osobisty** przykład. Stąd też jego naczelnym zadaniem — jako agronoma, jest unowocześnienie **własnego** gospodarstwa. A więc „budowa silosa, gnojowni, nowych chlewów, urządzenie łaźni, okólnika, lucernika oraz... odprawienie kuzyna od siebie, który był przez długie lata i stał się przyczyną niepowodzeń w gospodarstwie i zakłóceń domowych z teściową, co hamowało (jego) rozwój gospodarczy”. Z innych planów wymienia zamiar uzyskania większej pożyczki w Iódzkim Banku Rolnym. Tak pojmował, jego zdaniem, postępować wszyscy chłopcy w gminie, a całość sama się złoży.

Myliłoby się bardzo sądzić, że ów agronom nie myśli o drobnorolnych chłopach. Ma przecież dla nich dwa motory spalinyowe, młóckarnię szerokomłotną, kopaczkę „i inne”. Powiada, że brak mu tylko „pięciu albo trzech gospodarzy”, z którymi można by „urządzić spółkę maszynową na wyższą skalę dla obsłużenia innych, a nawet wsi sąsiednich”.

Zastanówmy się wspólnie, co to znaczy, jak wyglądałaby wieś, gdyby stało się tak, jak zamierza ów bogacz-agronom?

Wiedzie, że maszyn rolniczych na wsi jest jeszcze mało, choć stale przybywa. Sam o tym pisał w ankiecie. Stwierdził, że drobnorolny, że drobnorolny a nawet średniorolny chłop pozbawiony maszyn zależy od bogatego, który je ma.

Wasz kolega z gminy Radonia (Opoczyński) pisze, że we wsi Mariampol tylko dwóch bogaczy ma siewniki i liny i bierze „ćwiartkę” żyta od wysianego metra za wypożyczenie. W rezultacie siewa chłopcy jak z Piasta-Kołodzieja — rzutowo, a młóca cepami. Cena za wypożyczenie młóckarni jest nieco niższa, ale w przeludnionym Mariampolu młodych ludzi nie brak. Często — czworo — pięcioro na rodzinnym karłowatym gospodarstwie. Więc się męczą cepami przez całą zimę, bo jakże małorolny da radę zapłacić tyle od wynajęcia maszyny?

Przykład inny, również zaczerpnięty z Waszych wypowiedzi. Wieś Ostrowo-leżąca w gminie opoczyńskiej liczy 100 gospodarstw, w tym 85 drobnorolnych, poniżej 5 ha. Ze względu na konkurencję ośrodka maszynowego, zorganizowanego przez Z. S. Ch. cena wypożyczenia siewnika od bogaczy jest niższa, wynosi bowiem 10—15 kg od metra, przy czym nierzadko dodaje przedsiębiorca własną obsługę.

Do drugiego przykładu jeszcze wróć. Narazie odpowiedź sobie na postawione już wcześniej pytanie — jak wyglądałaby wieś, gdyby stało się tak, jak to „planuje” ów bogacz-agronom?

Mielibyśmy zapewne pięciu lub trzech bogaczy i urządzoną przez nich spółkę maszynową na wyższą skalę — z jednej strony, a z drugiej masę biedniaków i średniaków dopraszających się o pomoc w maszynach i płacących „ćwiartkę” od metra. Oglądaliśmy zatem zwykły kapitalistyczny wyzysk człowieka przez człowieka. Nie na tym jednak koniec. W niedługim czasie wykupiłby i połączył bogaciej więcej drobne parcele biedniaków. I stworzyłby równocześnie mocne fundamenty dla kapitalistycznego ustroju. A w kapitalistycznym ustroju — masy biedniaków — podobnie jak wielu z Was przed wojną — musiałby znowu pędzić tułaczę życie. Bo kto nie waha się wyrzucić nawet członka rodziny z gospodarstwa, ten się też na pewno nie zawaha usunąć z parceli drobnorolnego chłopca.

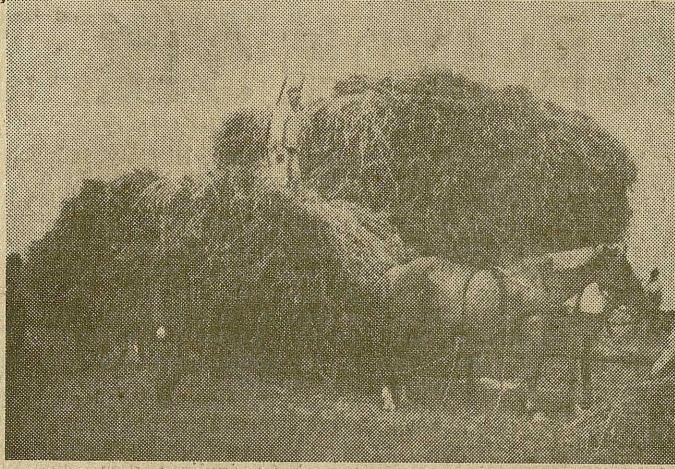
Ale nie jest tak źle. Działalność „przedsiębiorców” natrafia na przeszkody, których w żaden sposób wyminąć się nie da. Wskazuje na nie i bogaty agronom. Pisze bowiem: „wieś nie chce się zgodzić, by jeden nią przewodził”. Tak, to prawda. Podstawowa masa chłopstwa — drobnorolny i średniorolny — przeciwstawia się „przedsiębiorcom”. I mają szansę na wygranie walki. Właśnie przykład zaczerpnięty z sytuacji we wsi Ostrowo pokazuje, że im więcej będzie ośrodków samopomocowych, tym mniej będzie spółek bogaczy na większą skalę, tym mniejszy będzie wyzysk. Idą bez przerwy na wście maszyn wyprodukowane przez naszą klasę robotniczą. Przy ich pomocy rozgrywa się koledzy pomyślnie walkę klasową z „przedsiębiorcami”, likwidując wyzysk.

Poza tym jestem przekonany, że w jesiennych wyborach z ubiegłego roku staraliście się odsunąć bogaczy od wpływu na terenie gminnych władz Związku Samopomocy Chłopskiej.

3. „NAPRAWDĘ SZCZĘŚLIWI LUDZIE?”

Z Wami — kolegą z sieradzkiego — chciałbym pomówić wprost. Wiem z Waszego życiorysu, że niełatwe mieliście dotąd życie. Chcieliście przy własnym kawałku ziemi prowadzić sklepik wiejski, bo nie dało się z samej gospodarki wyżyć. Wysoka dzierżawa, duży podatek, wreszcie okradzenie zmusiły Was do tego, że nie tylko zrezygnowaliście z prowadzenia sklepu, ale nawet porzuciliście rodzinne strony i pracujecie ostatecznie jako agronom w sieradzkim. „Specjalnym moim dążeniem i zamiłowaniem, to kleić swój własny domek, własne, choćby małe, gospodarstwo... zazdroścę bowiem tym wszystkim, którzy posiadają kawałek ziemi i swój własny dom. To są naprawdę szczęśliwi ludzie... Trudno mi dalej o tym pisać, bo nie wiem, czy mnie kto zrozumie?” — to są wasze słowa.

Rozumiem Was, kolego — bardzo dobrze. Nieraz całe lata ciuła się pieniądze, aby kupić, czy dokupić skrawek ziemi. Jakże się z nim rozstać? Raczej znosić wszelki niedostatek, wyrzekać się zaspokajania elementarnych potrzeb, gnieść się z całą rodziną na parcelce niż się jej pozbyć. Tak, ale to też trzeba w określony sposób rozumieć. Pozwólcie, że Wam w tym dopomogę.



Układanie stogu

Z Waszej ankiety wynika, że w gminie, na której terenie pracujecie, gospodarstwa 1—3-hektarowe stanowią 50% ogółu. Jeżeli dodać 3—5-hektarowe, będzie to około 70%. Na każdej parceli, choćby obejmowała ona tylko 1 ha, a nawet mniej, stoi domek własny. Ale powiedzcie mi — jak się tam żyje, w takim domku?

Wasz kolega, pracujący na terenie gminy Duraczów (Konecki) pisze, jak się „gospodrzy” we wsi Błotnicy, gdzie niemal wszystkie, poza pięcioma, gospodarstwa nie przekraczają 3 hektarów. W Błotnicy, jak zresztą w całej gminie, uprawia się tylko żyto i ziemniaki a gdzieś tam owies. Produkcji chłopcy nie zbywają, ale nie dlatego, że do Końskich daleko a drogi złe. Pa prostu właściciel indywidualnej parceli, gospodarz „na swoim” nie ma co sprzedawać. Przeciwnie — musi nierzadko dokupować artykuły żywnościowe. Ludzie z duraczowskiej gminy muszą dorabiać poza „gospodarstwem”, inaczej nie mogliby żyć. Pracują w tartaku i warsztatach stolarskich, i w kopalni rudy przy błotnickiej gromadzie.

Myślę, że zaglądacie często do takich gospodarstw, piszecie bowiem, że propagujecie intensywnie uprawę roślin przemysłowych, racjonalną hodowlę krów i trzody chlewnej.

Tymczasem trudno nieraz sadzić drobnorolnemu buraki, skoro musi w pierwszym rzędzie mieć żyto na wyżywienie rodziny. Trudno mu wsiąść rzepak czy len, skoro musi posadzić ziemniaki — podstawę wyżywienia. I co mu mówić o racjonalnej hodowli, kiedy jego „gruźlica” krowa „stołuje się” na miedzy, bo małorolny nie ma przecież łąki.

Wiem, że macie dużo wiedzy rolniczej, podobnie jak wielu innych Waszych kolegów. Specjalizujecie uprawę zbóż i hodowlę, organizujecie związki branżowe, prowadzicie współzawodnictwo. Słowem — podnosicie produkcję rolną, na ile jest to możliwe w waszych warunkach. Ale przy tym wszystkim ulegacie legendzie, mitowi wolnej, chłopskiej parceli. Jest to uparta wiara w wytrzymałość chłopca na drobnym, byle tylko własnym gospodarstwie. Placi się za taką wiarę daleko większą cenę, niż wynosi wartość parceli. Tę cenę zapłacili już miliony naszych chłopskich emigrantów, którzy musieli odejść od ojczystych stron do obu Ameryk, za chlebem. Sprawa nie jest biała. Przecież Wy — jako agronomowie — zachwalacie z jednej strony własny domek i małe gospodarstwo a z drugiej jesteście wobec tego „gospodarstwa” bezradni. Wierzyście w nie i nie możecie równocześnie im pomóc, nie możecie na drobnych parcelach stosować maszyn, specjalizacji upraw, nie możecie na nich podnieść produkcji.

„Małorolny nigdy nie powiększa pól, z bólem serca muszę patrzeć na bogatych, jak

u nich pięknie rośnie” — pisze agronom z Brzezińskiego. Niejeden z Was i wielu chłopów myśli w podobny sposób. Ale nie jest tak znowu źle. Wyjście można znaleźć. Agronom z regnowskiej gminy (pow. Rawa Mazowiecka) już je nawet znalazł. Pozwólcie, że o nim opowiem.

4. „JA NATOMIAST INACZEJ ZORGANIZOWAŁBYM GOSPODARKĘ”

W swoim życiu przeszedł przez dwie twarde szkoły. W roku 1930 służył w warszawskim pułku artylerii. „W wojsku tym — pisze — służyłem tylko dwa miesiące. 1-go maja zostałem aresztowany za działalność antypaństwową i skazany wyrokiem Wojskowego Sądu Okręgowego na dwa lata ciężkiego więzienia i utratę praw obywatelskich na przeciąg 10-ciu lat. To była moja pierwsza szkoła”. Drugą przeszedł w czasie wojny jako partyzant i jako działacz społeczno-polityczny w konspiracyjnym ruchu ludowym.

Jak niemal wszyscy agronomowie — stara się on podnieść, unowocześnić i zorganizować produkcję rolną na terenie powierzonej mu gminy. Zabiega o maszyny, nawozy, próbuje specjalizować uprawy. Założył związek branżowy producentów nasion oleistych. Stara się usilnie, aby właściciel jednego na całą jego rodzinną wieś siewnika nie pobierał zbyt wysokiej opłaty za wypożyczenie.

Ale nie tedy — jego zdaniem — prowadzi droga do podniesienia wydajności w rolnictwie. Czy myśli o takim dobrobycie, jaki zaplanował ów „przedsiębiorca”? Na pewno nie. Co więcej — Wasz kolega z regnowskiej gminy wcale nie uważa, że każdy, kto ma na wsi własny domek i choćby tylko małe gospodarstwo, jest szczęśliwy.

„Ja natomiast inaczej zorganizowałbym gospodarkę, bo naprawdę, aby wyjść z tego chłopskiego dziażdowania i kręcenia się w kółko na swoim, trzeba aby chłopcy wyzbyli się kapitalistyczno-burżuazyjnych form gospodarowania i weszli w nowy system — społecznej gospodarki”.

Ostatecznie zarysowały się dwa wyjścia z „chłopskiego dziażdowania”. Pierwsze „zaplanował” wspomniany na początku agronom-bogacz. Jest to wyjście kapitalistyczne. Polega ono na zwiększeniu rozmiarów gospodarstw rolnych przez krzewienie kapitalizmu w rolnictwie.

Wyglądałoby to tak, że podstawowa masa

chłopska, drobnorolna i średniorolna ulegała

proletaryzacji a równocześnie zwiększałyby

się gospodarstwa „przedsiębiorców”, którzy

z czasem zajęliby miejsce dworów i folwar-

ków. Nic by się za tym nie zmieniło. Wiś

musiałaby wyglądać tak jak przed wojną.

Drugie wyjście — socjalistyczne, które za-

proponował Wasz kolega z rawskiego powia-

tu polega na łączeniu drobnych i średnich gospodarstw rolnych w spółdzielnie produkcyjne.

Olbrzymia większość z nas odrzuca zdecydowanie pierwsze wyjście. Rozumie, że agronom gminny Z.S.Ch. musi działać w interesie drobnorolnych i średniorolnych chłopów. Ale samo tylko przeciwstawianie się bogaczom nie wystarczy. Nie będzie dobrym agronomem ten, kto po rozegraniu bitwy klasowej z bogaczem chciałby zaoferować chłopom własny domek i małe choćby, ale własne gospodarstwo. Bo wtedy produkcja się nie podniesie, ani ci gospodarze na swoim nie będą szczęśliwymi naprawdę ludźmi.

Tam gdzie chodzi o nasze rolnictwo, o jego pomyślną przyszłość, należy patrzeć daleko w przód, trzeba widzieć jej przyszłe formy produkcyjne, a nie z uporem odwracać się ku smutnej przeszłości.

Agronom z Rawskiego rozumie, że chłopcy byli dotąd klasą społeczną, która budowała swoją gospodarkę na podstawie prywatnej własności narzędzi i środków produkcji. W rezultacie byli klasą, która wylaniała spośród siebie i zasilala właśnie „przedsiębiorców” i różnego rodzaju wyzyskiwaczy. Od takiej przeszłości odwraca się, bo doświadczyła go ona bardzo ciężko. Ale i Wy, przedwojenni wędrowcy od zawodu do zawodu, znacie dobrze przeszłość wsi. Dlatego powinniście myśleć tak, jak Wasz kolega, były więzień polityczny i radykalny działacz ruchu ludowego. Agronom gminny Związku Samopomocy Chłopskiej nie może zakładać związków branżowych, ośrodków maszynowych, wprowadzać wspólnego używania narzędzi produkcji i wierzyć równocześnie w legendę o szczęściu drobnorolnego na indywidualnej parceli.

REFLEKSJE

Ustaliliśmy w czasie naszej rozmowy, że Wasza wiedza z zakresu rolnictwa może służyć różnym interesom i zawsze pełni funkcję klasową. Użycie jej w interesie agronoma-bogacza i wszystkich jemu podobnych — odrzuciliśmy. Postawę kolegów z Sieradzkiego zwróciliśmy ku przyszłości, nastawiliśmy na przemianę, o której mówi Wasz kolega, radykalny działacz ludowy z rawskiego powiatu.

Tego wymaga sytuacja. Nie możemy od razu w ciągu roku, czy dwóch, wprowadzić socjalistycznej gospodarki w rolnictwie. Po przedwojennych, kapitalistycznych rządach odziedziczyliśmy Polskę biedną i zafobną, szczególnie na odcinku wiejskim. Ale możemy i musimy zgodnie z podstawowymi założeniami planu 6-letniego zbudować podstawy, fundamenty socjalizmu, możemy likwidować lub co najmniej ograniczać elementy kapitalistyczne na wsi, odcinać je od ich żywotnych źródeł. Samopomocowy ośrodek maszynowy, czy państwowa stacja maszyn rolniczych, oznacza równocześnie likwidację spółek „na wyższą skalę” organizowanych przez bogaczy chłopskich, oznacza odcinanie kapitalizmu wiejskiego od jego zaplecza, jakim jest zwykły wyzysk.

W tej walce nie jesteście sami. Stoją za Wami wszyscy dotąd wyzyskiwani a więc drobnorolny i średniorolny chłopcy. Wspiera Was Związek Samopomocy Chłopskiej i jego rozgałęziony już dobrze po gminach i gromadach aparat spółdzielczy, wspierają Was partie polityczne. Szansa na pomyślne rozegranie walki klasowej jest coraz większa. „Nasz przemysł — mówił min. Minc — nastawia się na silny wzrost produkcji środków wytwórczych, służących rolnictwu”. W planie 6-letnim przewidziano dostawę 50—60 tys. traktorów dla rolnictwa. Będą one służyć drobnorolnym i średniorolnym chłopcom. „Wartość maszyn rolniczych będzie w ciągu 6 lat pięć razy większa, niż w takim samym okresie przed wojną. Zaopatrzenie w nawozy sztuczne będzie wielokrotnie wyższe niż przed wojną. W okresie 6-letnim będzie zelektryfikowanych 8—10 tys. gromad” — takie zapewnienie złożył min. Minc w imieniu klasy robotniczej.

Przy pomocy tak szeroko rozbudowanej bazy technicznej będzie można ograniczyć wydatne znaczenie „przedsiębiorców” i osiągnąć niespotykany w krajach kapitalistycznych wzrost produkcji rolniej. Klasa robotnicza wykona swoje zadania wobec rolnictwa. Stawia mu wzmacniać za to takie zadanie: podnieść w ciągu 6-ciu lat produkcję rolniczą o 35—45%.

Nasz, rosnący z roku na rok i z miesiąca na miesiąc, przemysł potrzebuje i będzie stale potrzebował zagranicznych maszyn i zagranicznych surowców. Maszyny i surowce możemy otrzymać między innymi za artykuły rolniczo-spożywcze, dlatego konieczny jest wzrost produkcji rolniej.

Wciąganie drobnych i średnich gospodarstw w łożysko samopomocowych spółdzielni, kontraktowanie dostaw indywidualnie i zbiorowo, nasycanie wsi maszynami i nawozami — zakładanie pierwszych spółdzielni produkcyjnych — to najszybsza droga do podniesienia produkcji. Podniesienie produkcji rolniej oznacza — proszę Was — równocześnie pomyślne rozegranie walki o zbudowanie fundamentów socjalizmu na wsi. „Wzmocni socjalistyczną bazę w rolnictwie — majątki państwowe i spółdzielnie produkcyjne wzmocni biednego i średniego chłopca, a ograniczy i osłabi elementy kapitalistyczne na wsi, pozabawiając je możliwości wywierania istotnego i poważnego wpływu na rozwój rolnictwa i kształtowanie się rynku” (min. Minc).

Dlatego Wy, koledzy, jako gminni agronomowie, angażujący się w prace zlecane Wam przez Związek Samopomocy Chłopskiej, musicie patrzeć daleko w przód, musicie znać teorię, której służy Wasza praktyka. Nie ma bowiem rewolucyjnej praktyki bez poznania rewolucyjnej treści. A Wy przecież jesteście działaczami rewolucji społeczno-gospodarczej naszej wsi.

Wiesław Jażdżyński

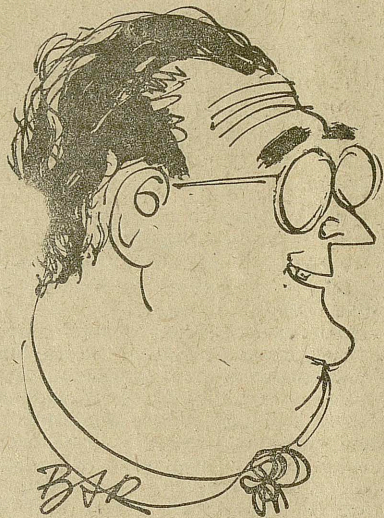


Na polach doświadczalnych w Z.S.R.R.

Jerzy Cios

rys. Karol Baraniecki

NA KONGRESIE ZZLP



Stefan Żółkiewski

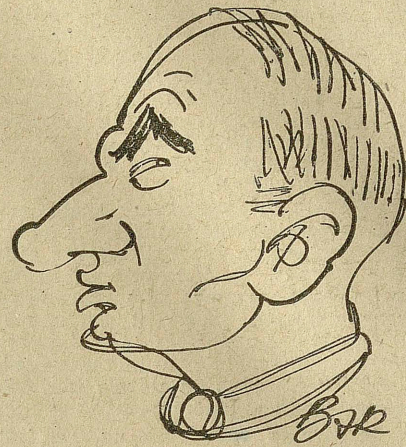
Zjazdy ZZLP mają już swój ustalony rytuał. Wchodzi weń referat Żółkiewskiego, kilka wypowiedzi marksistowskich, zazwyczaj powtarzających i uzupełniających treść referatu, dwa, trzy głosy liberalów, domagających się poszanowania poszczególnych pisarzy, no i wielka tyrada o Bogu, łasce i tragizmie, którą wygłaszał nieodwołalnie sam Jerzy Zawieyski. I tym razem rytuałowi stało się zadość. Mówił Żółkiewski, o życzliwy stosunek do twórców nawoływał Wat, nową postępową literaturę katolicką zwiastował autor „Ocalenia Jakuba”. Pozornie nie zmieniło się nic. Pozornie tylko. Nie tu bowiem objawiła się specyfika zjazdu. Większość spośród pisarzy stała na tych samych pozycjach tak teraz jak i przed rokiem. Ale mówiono już inaczej, domagano się czegoś innego. Zjazd ZZLP odbywał się przecież po zjednoczeniu obu partii robotniczych, w momencie kiedy to wejście na drogę do socjalizmu wymagało nowych postulatów w zakresie polityki, kulturalnej, gdy przed pisarzami polskimi stanęły zasadnicze zagadnienia ideowo-artystyczne. Przez cały czas zjazdu słowo „socjalistyczny realizm” nie schodziło z ust mówców. Rozpoczęła się bowiem walka właśnie o socjalistyczny realizm, o literaturę służącą interesom proletariatu. Tu dopiero można było odczytać, mówiąc emfaticznie, bieg dziejów. Po trzech latach przemian społecznych sytuacja kulturalna podlegała także poważnej ewolucji. Żółkiewski mówił już o konieczności związku pisarzy z ruchem proletariatu, a Zawieyski nie przeprowadzał złośliwych wypadów, jak działo się to jeszcze rok temu. Wręcz przeciwnie, wspominał o możliwościach postępowej literatury katolickiej, literatury wyzwolonej z dewocjonalizmu.

Dwa wstępne referaty, min. Sokorskiego i Stefana Żółkiewskiego, sprecyzowały szereg zadań, które wypełnić winna literatura polska. W znacznej mierze uzupełniła je prowadzona później dyskusja. Spróbujmy zrewrować te postulaty, które aprobowano w Szczecinie wśród pisarzy zgromadzonych tam z całej Polski. Chodzi tu o nową beletrystykę, poszukującą norm dla siebie, przede wszystkim we współczesnej polskiej rzeczywistości, nie zaś w tradycji ostatnich 50 lat prozy zachodnio-europejskiej, propagującej równorzędnie obok siebie występujący estetyzm i antyestetyzm. Chodzi o wyraźne sprecyzowanie zmienionej funkcji społecznej literatury, która ma nie tylko stwarzać odbudowę socjalistyczną, lecz także brać w niej czynny udział, to znaczy wspierać swym ideologicznym i politycznym oddziaływaniem wysiłki proletariatu. Nie pominąć tu także rolę krytyki, oczywiście krytyki marksistowskiej, winnej dopomóc współczesnej prozie w osiągnięciu właściwego celu. Referat Żółkiewskiego jednak był nie tylko ustaleniem zadań stojących przed twórczością polskich ludzi pióra, lecz także próbą oceny tych twórczości, próbą zaklasyfikowania obfitych zjawisk literackich. Naturalnie wyróżniono tu prócz osiągnięć pozytywnych, takich jak twórczość Lucjana Rudnickiego, Kazimierza Brandysa czy Pawła Hertza, dwa czołowe kierunki artystyczne, które transponowane z zachodniej Europy przeskadzają bieżącej prozie w jej zbliżaniu się do socjalistycznego realizmu. Rzecz szła tu o estetyzm i antyestetyzm, o beletrystykę selekcyjną, materiał pisarski ze względu na jego „piękność” (oczywiście z determinowaną klasowo) czy też „brzydotę”. Antyestetyzm, znany pod nazwą natu-

ralizmu, obejmuje coś więcej jeszcze niż powieści Zoli czy nowele Maupassanta. Antyestetyzm to Sartre i Miller (paradoksalne zestawienie ale jakże słuszne!), to Faulkner i Mouloudji, to u nas Borowski i Rudnicki ze „Scedzonego wina życia”. Estetyzm, drugie niebezpieczeństwo współczesnej prozy, cechował literaturę wywodzącą się z psychologizmu, związaną z Gidem i Conradem, burzący literaturę schyłku i upadku. Jego klasycznym reprezentantem przed wojną był Brunon Schulz, dziś wiąże się z nim czasem Iwaszkiewicz (w „Nowej miłości”), czasem Żukrowski („Piórkiem flaminga”), czasem Adolf Rudnicki (w opowiadaniach tomu „Szekspir”). Te dwa nurty, pozostałość niektórych tradycji dwudziestolecia, powodowały niejednokrotnie niewłaściwy wydźwięk społeczny a zarazem i polityczny wielu pisarzy, którzy tworzyli powieści o wiecznych problemach psychicznych uznając niezależność przeżyć człowieka od warunków go otaczających. Oczywiście walka z tymi prądami artystycznymi staje się sprawą konieczną i nieuniknioną. Referat podkreślał to wielokrotnie. A cóż powiedzieli dyskutanci? Hieronim Edward Michalski uzupełniał postulaty Żółkiewskiego, podawał dalsze przykłady skrzywień ideologicznych, analizował poezję młodych, podnosił sprawę realizmu socjalistycznego. Aprobował żądania wobec literatury i Stefana Flukowskiego i Aleksandra Wat, przy czym ten ostatni szczególnie osro wzywał do walki z naturalizmem. Protest wyszedł dopiero z tych ust, z których wyjść musiał. Oczywiście wygłosił go Jerzy Zawieyski. Zaczęło się dość nieoczekiwaną apologią literatury katolickiej, która jak znakomity ten orator zapewniał, miała być nowa, postępową i wbrew słowom Żółkiewskiego, daleka od estetyzmu czy też

antyestetyzmu. Niestety żadnych przykładów podobnych dzieł Zawieyski nie wskazał. No, bo i wskazać nie mógł. Jakież bowiem dzieła mógł wyliczyć? „Sprzysiężenie” Kisielewskiego „Najeźdźców” Dobraczyńskiego czy też swe dwie psychologizujące powieści? Przykładów nie dało się znaleźć. Toteż mówca tylko zapewniał nas z trybuny, że istnieją. Wyliczyć nie potrafił. Zresztą sprawę literatury przez cały czas sprowadzał do sposobu ukazania losu człowieka, ignorując niejako jej znaczenie polityczne, ignorując jej sposób oddziaływania, rozpatrując wszelakie zjawiska w próżni socjalnej. Niewiele pomagał tu żarliwy głos wyznawcy ani żaden z pewnością, że literatura rodzi się w sposób niewyjaśniony, tajemniczy, samoistny, co jako ludzie dwudziestego wieku winniśmy rzekomo zrozumieć. Jako ludzie XX wieku? Ale jacy ludzie, i czy koniecznie XX wieku? O tajemniczych narodzinach sztuki mówili już tak zwani dekadenci u schyłku XIX wieku. Mówili wcześniej niektórzy romantycy. A o tajemnicy świata zapewniali nas mistycy od wielu wieków. Toteż nie sądzę aby należało dziś naśladować ich tutaj i uznawać cudowność, nieprzeniknioną biednym ludzkiem umysłem, genezy „Najeźdźców” albo też „Ręki ojca”.

Protest Jerzego Zawieyskiego był protestem wprost zwyczajowym. Nie byłoby inaczej tradycyjnego zjazdu, a zresztą wielbiciel „Sw. Tomasza z Akwinu” musiał oponować przeciw postulatowi Żółkiewskiego, musiał zapowiadać nową literaturę katolicką, jako właściwe rozwiązanie problemu. Ale literatura katolicka mimo egzorcyzmów, chociaż odprawiają je od wielu lat osoby duchowne, nie chce się jakoś pojawić. Za każdym zaś razem gdy sięgamy po dzieło mające być jej przejawem, to sięgamy po niezmienny



Włodzimierz Sokorski

dramat „Ułana i dziewczyny”, czasem zagadnienie impotencji, w niektórych zaś przypadkach olbrzymią powieść o mocarnym Bolesławie Chrobrym. Jak widać dotąd zaklęcia są bezskuteczne. Czy mamy spodziewać się, że od dnia zjazdu nabiorą większej mocy? Poza tym ostatnim głosem sprzeciwu i to zresztą niezbyt ostro sformułowanego, jeśli zważyć równoczesne sugestie o możliwości porozumienia, pisarze byli zgodni. Postulaty Żółkiewskiego i Sokorskiego były bowiem wskazywaniem takich dróg, które mogły jedynie zapewnić dalszy, świetny rozwój polskiej literatury, zdążającej ku wielkiej twórczości realizmu socjalistycznego, literatury rozumiejącej swoje społeczne i polityczne zadania chwili dzisiejszej.

Obrachunki literackie

E T A P

Stanisław Pięta

Wszystkie spowiedzi autorskie pisane na zamówienie są i żenujące, i niepotrzebne, bo pomijając już nieodłączną pozę w takich razach, tworzone są świadomie lub nieświadomie dla zatarcia właściwego śladu — dla chwały, a nie dla pogrzebienia siebie. No, mnie na dobrą sprawę można jednak uwolnić od wzniań, bo przecież cała moja tzw. twórczość poetycka i powieściowa aż przelewa się od autobiografizmu, od spraw osobistych. Artykuł mój, jak kto chce, może być uważany za samokrytykę, lub za dyskusję z krytykami.

Zaczynam od rzeczy najważniejszej. Krytyka postulująca bije mnie za dekadentyzm, za skomplikowanie, przeczułenie etc. Ponieważ nie są to rzeczy literackie, przejęte przeze mnie, ale niejako natura mojej twórczości, postaram się fakty wytłumaczyć. Rzecz w tym, że krytycy pytają słusznie, gdzie jest moja siła, krepka chłopiska, mylą się sądząc, że pochodzę z rodziny chłopskiej, z siedzibą, zapóźnionej kulturalnie. Jestem synem nieżyjącego już Karola Pięta, pisarza-amatora (fragmenty jego prozy drukował w kilku swoich numerach „Miesięcznik Ludowy” w r. 1947), który w bujnym i bogatym intelektualnie swoim życiu zakosztował właściwie wszystkich zawodów, był cieślą, murarzem, robotnikiem fabrycznym, mówcą, żołnierzem, no a już najmniej rolnikiem (tym zresztą był fatalnym). Ustrój, w którym przyszło mu żyć, kruchosć jego woli poza tym, sprawiły, że nie urzeczywistnił on ani 10 proc. ze swoich wspaniałych zdolności, jakimi był z natury obdarzony.

Ojciec zresztą nie był jedynym literatem w najbliższej mojej rodzinie, był nim i najmłodszy z jego braci, Franciszek, człowiek wykształcony, poeta i nowelista nawet znany, rokujący olbrzymie nadzieje (prace jego pod pseudonimem i nazwiskiem pomieszczane były przede wszystkim w „Naprzódzie” i „Prawie Ludu” w latach 1908—1914 i zginął on bodaj na froncie już w r. 1915, licząc zaledwie 30 lat), łączący od rewolucyjnej przekonania z absolutnym dekadentyzmem życia.

Te tradycje zaciążyły na mnie, niepokój ludzi, których wielbiłem, ogarnął i mnie, wziąłem od nich straszne idee, rozpacz inteligenta chłopskiego, zagubionego w ówczesnym ustroju, nie wziąłem przecież pasji społecznej, rewolucyjnej — no, przed tymi rzeczami ostrzegali mnie maluczy moi bliscy, a poza tym zafascynowani wychowawcy w szkole, jak przed bestią apokaliptyczną.

Tak proza ojca, jak proza stryja jest opasowana, jednak nie ma w niej ustawicznej nerwowości, której tak wiele jest w moich zdaniach. Moje przeczułenie, „zapady” wynikły z kompleksu śmierci, byłem chory ciężko kilka dobrych lat w dzieciństwie, nie pracowałem fizycznie, zdany byłem na marzenie, na trującą lekturę, oczy, słuch, wszystkie zmysły pracowały w rozpaczliwej samotności zbyt długo, by nie zostawiło to pięknego śladu w moim umyśle.

Właściwie pisać zacząłem dość wcześnie — i od razu tworzyłem i prozę i wiersze. Powinienem być nawet debiutować tomem prozy, bo już jako dwudziestoltni młodzieniec ogłosiłem sporo opowiadań po czasopiśmie „Zetknięcie się” przeciw z ówczesnym prądzącym ruchem literackim, z tzw. awangardą, wykołowało mnie, wytrąciło mi pióro, kazało myśleć i pisać inaczej. Odrodziłem swoje do-



Stanisław Pięta

tychczas wydrukowane rzeczy, niesłusznie lekceważąc je, do kuferka i począłem terminować u wyznawców pięknych zdań na dobre.

Kontakt swój z awangardą, chodzi tu przede wszystkim o twórczość Peipera i Przybosi, poczytuję mimo wszystko dla siebie za pozytywne, otwarły mi się bowiem oczy na piękno i świeżość nowego języka poetyckiego i na piękno nowego rytmu wiersza — pobyt jednak przy kuźni „ekstremistów” był krótkotrwały, jak krótkotrwałe były w ogóle wszystkie moje przystanki przy ówczesnych — izmach, przy autentyzmie, fantazjotwórstwie, syntetyzmie i td.

Szedłem od początku, choć na oślep, swoją drogą. Peiper głosił poemat rozkwitający i piękne zdanie. Przybosi konstruktivism i powszechność, a w „Alfabcie oczu”, mojej pierwszej książce poetyckiej, aż burzyło się od słów uczuciowych i prozaimów, od rozterki i wielkich niepomahomanych wylewów, — nieboszczyk Sebyla nazwał to chorobą poezji.

Krytycy pisali często o mnie, że biegłem na ślepo w swojej twórczości, że wiersze moje to jest jeden nagi krzyk bólu i rozpacz. Istotnie trzy pierwsze moje książki: „Alfabet oczu”, „Legenda dnia i nocy” i „Ziemia odpływa na zachód” są, wyłączając nieodłączną u młodego poety modną patynę obowiazującego stylu, spontanicznym wyrazem własnych przeżyć twórczych.

Stylizacja, robota literacka zaczęła się u mnie dopiero po „Ziemni” i trwała w ostrej formie do r. 1944. Lata stylizacji: to bezpośrednie dla mnie, jako dla literata, lata dużego sukcesu, lecz jako dla twórcy — czasy, jeśli nie klęski, to w każdym razie zatrzymania się na drodze. Na tory formalizmu, stylizacji pchnęły mnie raz kontakty artystyczne — współpraca z grupą Czechowicza — więcej przecież jeszcze pchnęło środowisko, w którym żyłem, kawiarnie, cyganeria artystyczna.

Wszelkie próby tworzenia dla klasy, z której wyszedłem, zawodziły, począłem więc pisać dla półświatka artystycznego, rozkoszującego się wszystkimi smaczkami tzw. nowoczesności, zostając, jak to wtedy szumnie jeden z krytyków napisał, „chłopskim nadrealistą”.

Oczywiście czystej stylizacji nigdy jednak nie uprawiałem, bo gardziłem nią w gruncie rzeczy (nieufność moja ówczesna do liryki Czechowicza i ucieczka raz po raz do epiki). Pozbawienie przecież nowatorskiej i nieobjętej prozy uziemienia, żywnych korzeni społecznych, nie wyszło jej niejednokrotnie na dobre.

* * *

Nowy rozdział mojej pracy to lata powojenne. Czyniąc różne omyłki w owym czasie, byłem przecież w pisaniu sobą od początku do końca. Na pierwszy plan wyniosła się znów wtedy liryka. Splot tragicznych dla mnie osobistych zdarzeń, chwila załamania sprawiły, że przesiąknięta ona jest jakże często rozterką, skłóceniem. Ze jednak byłem dla siebie bezlitosny, że oddawałem bez fałszu, bez upiększania cały swój świat przeżyć w chwilach przełomu, uważam tedy te drobne wiersze za bodaj najważniejsze z tego, co dotąd napisałem.

Główną rewizji poddałem w tych latach ostatnich całą swoją twórczość, a przede wszystkim prozę, proza moja powojenna ociera się raz po raz o pisarstwo użytkowe („Front nad Wisłą”), o reportaż i pamiętnik („Nagi grom” i „Ucieczka z miejsc ukochanych”). Napór wielkich faktów społecznych, nienawiść obecna do wszelakiej stylizacji zdziłały, że straciłem zapal, porwy do powieści-fikcji i z trudnością buduję w sobie wyobrażenie nowych swoich utworów beletrystycznych.

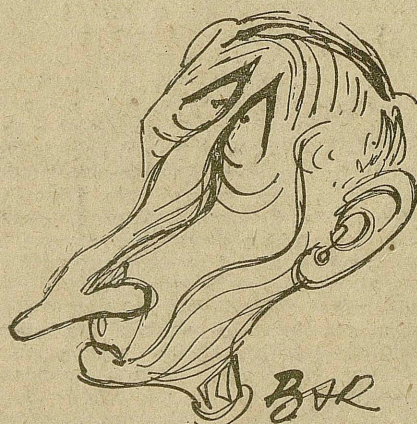
* * *

Pobudliwość pisarska moja była bardzo wielka, w ciągu dwudziestu lat napisałem wiele utworów, z których najważniejszymi bodaj są, z poezji — poemat „Ziemia odpływa na zachód”, wiersze z tomu „Dom rodzinny” i liryki napisane i publikowane w ostatnich dwóch latach, a z prozy — cykl o „Jasiu Kuneale”, lecz mimo to znowu wydaje mi się, że jak podczas pierwszego swego debiutu, stoję przed najważniejszym swoim egzaminem. Faktem jest, stanąłem w obliczu wyraźnego przełomu ideologicznego i artystycznego, będzie go znamionować odejście od osobistych spraw do twórczości obiektywnej, silnie związanej z treściami społecznymi, do realizmu.

I jeśli nawet w nowym moim marzeniu twórczym poezja moja rysuje mi się jak wielka plama, wielka niewiadoma, której już z dawną zapamiętałością nie będę może w stanie rozzarzyć, to na odwrót udział w innych rodzajach pisarskich widzę aż nadto wyraźnie i mocno.

Zainteresowania moje, wysiłki w najbliższych latach będą biec chyba głównie w kierunku prozy i twórczości dla teatru. Jako główne tematy zajmują mnie najbardziej czasy przełomowe na wsi od r. 1944, 45 oraz życie małego biesa drobniomieszczańskiego z prowincji przed wojną, w czasie wojny i po wojnie.

Do pracy nad tymi rzeczami usiądę nie wcześniej wszakże niż późną jesienią dopiero, na razie porządkuję, ocalam, kończę je, dawne utwory, siedzę w lekturze historyczno-społecznej po uszy.



Jerzy Zawieyski

Stan sław Orzel

ilustr. St. Cieloch

DZIECIŃSTWO

Zaraz po śniadaniu szykowałem się do szkoły. Miałem już przecież siedem lat. Byłem patykowaty, długi, plegowaty i całe moje szczęście, że nie ryzy. Siostry, a nierzadko i matka, nazywały mnie w złości „kropato zjaba”, co pamiętałem im zawsze i dokuczałem, gdy tylko nadarzała się okazja. Tego dnia szedłem pierwszy raz do szkoły. Krowy wypędziła za mnie starsza siostra, Bronka; musiałem się przecież umyć porządnie i ubrać. Matka odcedziła do cebrzyka „świńskie ziemniaki”, a ja, siedząc na niskim stołeczku, trzymałem obydwiema rękami nogi wysoko w buchającej parze. Czekałem aż kapieł nieco ostygnie.

— Stasek, bo łapy poparzys — upominała matka.

— I, poparzę-ta, odpowiedziałem, opuszczając nogi coraz niżej. Cały czas myślałem o szkole.

* * *

Rozległ się wreszcie dzwonek. Wszyscy rzucili się do drzwi otworzonej sali. Chłopaczyska z grubymi głosami i już w butach szargały nogami przy wejściu do klas-



sy przed panem kierownikiem Ciarupą i nauczycielką, którzy rozmawiali o czymś przy stole. Dla nas najmłodszych miejsc w ławkach nie było — zabrakło. Nikt się tym nie turbował, a my najmnij. Zbici w ciasną grupę, staliśmy koło pieca z rozdzielionymi ławkami i wybaluszonymi na wszystko oczami. W ławkach rozległy się co chwila śmiechy i piski, wśród nas panowała cisza. Zauważyłem, że niektórzy, podobnie jak i ja, patrzą pilnie na ręce pana Ciarupy. Pan kierownik trzymał w obu rękach linie. Wyginał je z lekka i zaglądał w oczy nauczycielce. Czekaliśmy, kiedy rzuci się nagle między ławki i zacznie sytać tym krzykaczom łapy. Popłulem na wszelki wypadek w dłonie, bo jakby tak i nas...

Niespodziewanie pan kierownik walnął kantem linii w stół, aż nasz tłum pod piecem zafalował. Pan kierownik zauważył to i uśmiechnął się.

— Dobry materiał będziemy mieli z tych małych, linie czują od razu — powiedział do stojącej obok nauczycielki. Nje podobała mi się ta nauczycielka. Była jak piec szeroka, a zęby miała żółte i porostawiane jak to ścierńsko. Pan kierownik zaczął mówić. Mówił bardzo ładnie, a linia wyginała mu się sama w rękach. Naprawdę jak żywa. Patrzyłem tylko na nią i zdawało mi się czasem, że wyskoczy z ręki pana Ciarupy i będzie sy-pała.

— Chłopcy i wy dziewczęta, razem dzieci — mówił pan kierownik. — Od jutra będziecie przychodzić do szkoły, pandzieju. Tylko mi przychodzić regularnie, bo jeżeli nie, to was zrajdę, pandzieju.

— A uczyć mi się bałwany musiecie bo, pandzieju, skóra będzie w robocie.

— Zapamiętajcie sobie złodzieje, że jeżeli mi z ogrodu zginię, pandzieju, choćby jedno jabłko, jeden ogórek, to na pokładankę i do kozy na całą noc, pandzieju.

Aha, jest i koza, pomyślałem, tylko ani rusz nie mogłem zrozumieć, kto to był taki ten „pandziej”. To na pewno ogórek jakiś duży, albo ten, co przy kozach jest. Zamyśliłem się o tym pandzieju i już nic nie słyszałem, co mówił pan Ciarupa.

* * *

W niedzielę po sumie stawałem sobie wysoko na schodach pod kościołem, aby popatrzyć, jak ojciec rozmawia ze znajomymi. Schodził po schodach wysoki, jak ta topola księdzowa, co koło ganku rośnie, podkładał wąż, śmiał się głośno a białe, równiutkie zęby aż świeciły białością. Kobiety oglądały się za nim, a on zdejmował granatową maciejówkę i przyglądał się czarnej, lśniącej włosy. Ładny był ten mój ojciec...

Ale nie lubił go, bo o byle co łapał nawet przed kościołem takiego „sprzeciwie” za kurtkę i szast-prast po gbie. Krew się zaraz łała, ludzie krzyczeli, łagodźli i w końcu szli czasem do pana Mendla na wodkę. Jeżeli ojciec nie pojechał na jarmark, lub nie miał co kupić kwaterki u Mendla, wtedy lepiej było uciekać z chałupy na koniec świata; do Rostowa, albo jeszcze dalej. I ja też ojca nie lubiłem. Ładny, bo ładny, ale co mi to za ojciec. Nic nigdy z jarmarku nie przywiózł, nie pozwolił mi bawić w życie w chowanego, nie dał husławki z powroza na wierzbie zrobić a za wszystko bił.

Najstraszniej było w domu, gdy ojciec bił matkę, bo i ja bił. Wtedy robiło się w domu piekło i taki krzyk i płacz, jak na jarmarku w Słupi. Właściwie krzyczał tylko ojciec a płakałyśmy my wszyscy. Nawet malutki Jasiuś w kołysce i to płakał. A ojciec matkę bił, raz bił pasem, raz miotłą, a raz, ale to było potem, bił takim kijem od poprawiania

Drukujemy poniżej fragmenty z pamiętnika Stanisława Orza, obejmujące okres wczesnego dzieciństwa chłopięcego dziecka. Nie jest to w tych fragmentach wyłożone explicit, ale domyślić się łatwo, że bohater pamiętnika pochodzi z rodziny średniozamożnej, czy z jej pogranicza. Wyraźny jest natomiast rodzaj pamiętnika. Nie należy on do znanej serii Zyciorysów z „Pamiętników chłopów”, czy z „Młodego Pokolenia Chłopów”. Zyciorys ten ma wyraźne znamiona literackiej roboty. Mammy tu już do czynienia z prozą artystyczną, bardzo ciekawą, widac w niej bowiem, jak surowy zapis życia, jak materiał socjograficzny, w którym wszak jak w „Pamiętnikach” przede wszystkim wyraża się poznawcze odbicie życia, jak ów dokument staje się, z wiec może, stać, utworem artystycznym. Próba ta zdaniem naszym, winna być obserwowana jako wyraz kierunku, jednego z tych, które ukazują drogę nowego realizmu. Autor bowiem w obrazach dzieciństwa, w tym jakby wstępie do powieści, wypełnił przeżycia i wydarzenia psychiczne dzieckiem historyczno-społecznymi. Naiwność dziecka jest u niego nie zapórą do wypełnienia się wiedzą o środowisku wiejskim, przeciwnie, jest chłonna gąbką. I przy takim ujęciu dzieciństwa autor oddaje je poprawnie, jako humanistyczny proces wrastania w społeczne treści. W wiedzę o klasowych stosunkach na wsi.

P. Ch.

ognia w piecu. Matka nie bronila się nic a nic. Nie zastanawiała się też rękami, jak my. Siadała tylko na łóżku i płakała. Albo powtarzała jedno w kółko: — Jasiu, dzieci patrzy, Jasiu...

Todka i Józia czeptały się spódnicy matczynej i płakały tak rozdzierająco, że i ja musiałem płakać. Jeżeli w domu był Władek lub Bronka, to próbowali zasłonić matkę. Taką Władek, najstarszy w domu, to mógł. Ojciec jednak bił wtedy wszystkich. Raz Władek kopnął w nogę, to potem przez dwa dni nie mógł chodzić. I mnie też czasem oberwało się przy tym. Uciekałem wtedy do pokoju, wlałem pod łóżko i postanawiałem sobie z całej duszy, gorąco, że niech tylko urosnę, to matki bić nie dam, a jeżeli ojciec będzie koniecznie chciał, to... nie wiedziałem jeszcze, co z nim zrobić. Zresztą on zobaczy. Mnie ojciec bił najwięcej. Mnie a potem siostry, ale to było potem. Podobno jak byłem mały, to trzy lata nie — tylko chorowałem i chorowałem. Umierałem nawet kilka razy. Raz mi nawet swok Błęziński trumnę już zrobił, a ja nie umierałem. Nigdy nie płakałem, kiedy mnie ojciec bił. Nie to, że nie chciałem, ale nie mogłem. Złotki Jasiuś, to już z daleka, gdy zobaczył, że ojciec chce mu wyspać, szedł drobny krokami, płakał, choć go jeszcze nie uderzył i błagał: — Tatusiu słodki. — Jaki to może być słodki tatuś, który bije. Ja swojego ojca nazywałem po prostu „tata” i nigdy go słodkim nie wołałem... A może ojciec bił mnie za to, że byłem w domu najbrzydszy? Czasem to mi żal było, że wtedy, gdy mi trumnę robili, nie umierałem. A może i lepiej, że żyję... niech tylko urosnę...

Ale ten nasz ojciec umiał bić. Łapał mnie zawsze mocarną za rękę, a potem kładł sobie moją głowę między kolana i nawet kłapy nie odpychał. Jeżeli bił pasem, to już gdzie popadło, a jak wziął za ucho, to tak skręcał, że potem zawsze zdawało mi się, że napewno wyrwał mi ucho, bo i krew ciekła.

Krowy, konie i Bukietu bił, gdy był zły, gdy wódki nie pił, a jeżeli wypił, to też mógł zbić. Co mu taki głupi koń winien, że kopnął go buem w brzuch? Jak tylko to widziałem, to zawsze uciekałem za stodołę i płakałem, bo przecież koń nie umie płakać.

Bywały dni, kiedy mój, albo raczej nasz ojciec, był dobry. Wieczorami, gdy podjadł sobie dobrze, brał na kolana Todkę lub Józję, udawał, że jadą na koniu, cmokał im wio, wiata, śpiewał krakowiaki i gwizdał. Albo leżał w kuchni na łóżku rozszuty i szczyptał długimi palcami u nóg wszystkich, kto siedział najbliżej, nawet matkę. Czasem czytał z nami książkę albo uczył nas długiego, bardzo długiego wiersza o tym jak to:

Idą, idą dzieci drogą siostrzyzka i brat i nadziwić się nie mogą, jaki piękny świat...

lub ten o panu, co pieniądze zgubił. Najlepiej lubiłem słuchać opowiadań ojca o rybach, ptakach, leśnikach albo o strasznych duchach lub czarownicach. Wtedy ojciec był dobry, a w domu było ładnie jak w kościele, a kolację jedliśmy długo i taka smaczna była.

Nasz ojciec w domu nie nigdy nie robił. Nie gotował, ani krowom, ani kurom, ani gęsiom, ani świniom jeść nie dawał. Sześciu nie rznął, nie prał bielizny. Miał swego konia ale i to musiał o nim Władek pamiętać. Ojciec pracował tylko w polu, a wszędzie rozkazywał.

* * *

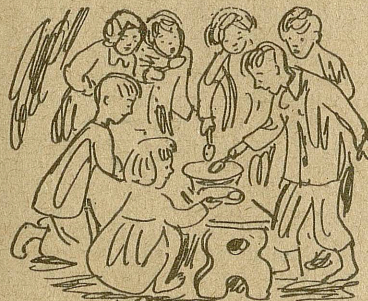
A więc pod oknem siedziała ta druga klasa a my, pierwsza — pod ścianą bez okien, bliżej pieca. Było nam ciemno, ale za to naprzeciw nas były drzwi, którymi szło się do kancelarii, a dalej do kuchni pana kierownika. Te drzwi to były dobre i złe. Czasem gdy były trochę otwarte pachniało w nich kapusta smażoną, przypalonym mięsem... Raz pachniały przysmażane ziemniaki, które ja bardzo lubiłem, a czasem to buchało takimi słodkościami, że zapomniałem o pisaniu i tylko wciągałem do pachnienia i kurtkę rozpinałem nawet, aby się do mnie przyczepiało. Chciałem do domu zanieść. Matka i Bronka tłumaczyły mi, że to napewno pani kierownikowa takie słodkie placki piecze, a to co pachnie, to „wangelijo” — taką proszek od Mendla. Obiecałem sobie, że gdy będę miał dużo pieniędzy, to kupię sobie tego „wangelijo” całą torbę i zjem.

Kiedy te zapachy tak szły z kuchni przez otwarte drzwi, to i pan kierownik nie mógł wytrzymać. Przeształwał zaraz pływacz pazurek, pociągał głośno nosem, a ta duża kość pod brodą, którą ojciec mój nazywał tak śmiesznie „grzydka”, zaczynała mu mykać z góry na dół. Gdyby zapomniał, to mógłby ją wypuścić, bo mu napewno do ust wpadała. Ale on nie zapomniał. Jeżeli wtedy czy-

tałmy takie mamemimomumy, to zaraz pisał na tablicy cały wiersz, kazał nam przepisywać, a sam zmiatał do kuchni.

U nas wjeżdżaliśmy już od małego, czym kto będzie. Gdy się tylko urodził brat jaki, to zaraz ojciec mówił, kim będzie. I koniec... bo ojciec, to był ojciec. Co kazał, to musiało być. Siostry się w ogóle nie liczyły, bo „dzieucha” może być tylko „baba”, to znaczy „ożenić” się z chłopem.

Na Bolka powiedział ojciec, że musi być księdzem. Ksiądz ma zawsze, co jeść, to i ojcom będzie lepiej. I będzie się modlił zawsze za całą rodzinę. Ojciec na pewno myślał tylko o sobie, bo się modlił nie lubił. Za zdrościłem Bolkowi, bo mu zawsze posyłał to masło, to serek, to cukier. Księdzem to i ja chciałbym być. Nic sobie tak; „ojciec duchowny” nie robi, po „ochwiarze” chodzi i wszyscy go w ręce całują. I mądry jest. Wszystko wie, bo mu muszą mówić na spowiedzi. — Co ukradłem, kogo oszukałem? Ksiądz powinien być komendantem policji — wszystkich złodziei wyłapałby, bo spowiadać się każdy musi, a to robi z ambony takie piekło, że potem wstyd i wszyscy o tym wiedzą. Za Bolkim szła Bronka — „dzieucha”, więc jej ojciec na nie nie przeznaczał. Musiała w domu pracować. Pomagała matce obiad gotować, świniom dawać jeść. W polu już wszystko umiała zrobić. Biła mnie i przezywała najwięcej. Ze złości tylko, bo kobiety muszą się na kogoś złościć i kłócić z każdyma przezywać. Czwarty byłem ja, Gienki i matego Stacha nie liczyłem. Mogli nie umierać, byłiby za mnie krowy pały i buty czyścili. Ja miałem być nauczycielem i to takim samym jak Ciarupa. Tak postanowił ojciec. Początkowo to mi się nawet podobało. Będę sobie chodził po klasie i — lub linie po łapie, buch książką po głowie lub wykrecał za ucho, postawiając na kolanach. Tak myślałem, ale jak zobaczyłem Ciarupę, to więcej nie chce. Ciarupa nikt nie lubi i teraz wszyscy przezywiają go „pandziej u licha”. Gdy zostabym nauczycielem napewno wyrosłabym mi taka „grzydka” jak u Ciarupy i nos miałbym siwy, a ja przecież i tak jestem brzydki. Walków Józek powiedział mi w tajemnicy, że jak tylko Ciarupa będzie szedł koło ich domu, to mu le kamieniem rozwali i już. Nie będę nauczycielem na złość ojcu, niech tylko urosnę. Pójdę na biskupa i Bolek musi mnie słuchać i ojciec i wszys-



cy w domu, bo ksiądz to tylko chrzci, a biskup... biskup, to nie wiem jeszcze, co robi, ale na pewno coś ważnego... Słyszałem przecież, jak raz ksiądz Ścisła krzyczał z ambony, że powie biskupowi, jakich ma u siebie grzeszników.

* * *

Najlepsze jedzenie w domu, to były kluski z makiem albo ze skwarkami, a jeszcze lepsze z twarogiem polewaną śmietaną. Tylko, że kluski bywały zawsze w niedzielę, a na codzień rzadko. Rano jadaliśmy barszcz z ziemniakami, w obiad kaszę i taką zupę z ziemniaków, albo kaszę z makiem i kaszę ze skwarkami. Wieczorem znowu barszcz. Kawa też była z chlebem, ale bardzo rzadko, bo cukier był drogi... a herbaty tylko wtedy, gdy kto był chory. Ja raz naumyślnie zachorowałem i chciałem herbaty, ale o mało nie dostałem w skórę. Ojciec powiedział, że jak kogo głowa boli, to musi leżeć cicho i nie jeść. Nje ma głupich, zaraz mnie głowa przestała boleć i wstałem, bo matka ziemniaki przysmażała. A Todka też nie była chora i głowa ja nie bolała, a herbaty jej dał, jak tylko zaczęła płakać.

To dlatego, że ja mam już takie szczęście. Jak tylko co chce, to ojciec zaraz: — Stul pysk, bo jak ci wejdzie, to zobocysz.

Jadaliśmy zawsze w kuchni. W pokoju stały trzy łóżka i stół z pasyjką i tam się spało. A w kuchni był też stół, łóżko i ława. Na stole jadali tylko sam ojciec, z oddzielnej miski. My z matką jadaliśmy na ławie i też z jednej miski. Jeżeli jedliśmy barszcz, to na środku ławy stała „donica” z ziemniakami, a po bokach dwie miski z barszczem. Na

stołku siedziała matka lub Władek z Bronką, bo matka musiała dolewać i nie miała czasu siedzieć. My reszta musieliśmy stać po obu stronach ławy. Takie jedzenie to była cała wojna. Brało się łyżkę ziemniaków, potem do tego trochę barszczu i chlap — jadło się. Trzeba było uważać, aby się nie pochlapać, bo za to też można było oberwać od matki. Najlepiej było siedzieć na stołku, bo co chlapnęło, to na ziemię. Ale lepiej jednak było stać, bo oszukiwały. Tak, oszukiwał każdy. Jak tylko nie pilnowało się ziemniaków przed sobą a pokazał się skwarek, to zaraz kto mógł, capnął łyżką. Gdy się stało, to lepiej było widać, chociaż i tak mógł ktoś ukraść takiego pachnącego skwarka ze stoniny. Jak tak każdy brał ziemniaki sprzed siebie, to wytworzyły się przegrody i trzeba było pilnować, aby nie przewalić przegrody na tamtą stronę, bo skwarki przepadały. Nie wolno było przed kimś gmerać. Dlatego nie lubiłem matkę Todkę, bo się tego prawa nie słuchała. Jej było wszystko wolno, bo jeszcze mała. Smarkula jeść nie chciała, tylko kopała za „zyskami” — tak się te skwarki dla małych nazywały. Latem to do brzo było raniutko wypędzić krowy na łąkę. Wtedy matka albo Bronka przynosiły ziemniaki w dwójczkach. W ziemi trzeba było pilnować swojej przegrody w donicy. łyżkę



to już każdy miał swoją. Cudzą nie wolno było jeść, bo się zaraz „zjadą” robiły. Ja nazywałem swoją koleczką i nikt mi jej nigdy nie brał. Kaszy to nikt z nas nie lubił, bo to nie jedzenie. Mięso jedliśmy tylko wtedy, gdy się wieprzaka zabiło, albo gdy kura zachorowała lub zaczynała pisać. Matka brała wówczas kurę i przemierzała nią izbę od okna do drzwi. Jeżeli na progu wypadł łeb, to jedliśmy mięso, a jeżeli ogon, to kura była uratowana. Potem to już zawsze Władek „przemierzał”. Jemu to musiał łeb na progu wypaść. Mówiło się w domu, że biedny nie ma, ale ja byłem zawsze głodny. Dorabiałem zwykle chlebem. Brało się kromkę przez cały bochen i, jeżeli nikt nie widział, sacharyny z szafy. To było bardzo dobre i słodkie jedzenie. Mleka można było zawsze wypić, gdy się krowy pocieliły. Sera i masła nie jedliśmy, chyba troszeczkę, cieniutko na chleb, bo reszta dla księdza, to jest niby dla Boleka. Bolek, gdy przyjeżdżał, to też jadł oddzielnie, na tym samym stole, co i ojciec. W lecie było daleko lepiej. Człowiek narwał jabłek, strąków grochu na polu, marchwi — jedzenia ile się chce. W domu tylko mlekiem popić i starczyło. Gęsi to nigdy nie jedliśmy. Matka sprzedawała i kupowała chustki, spódnice i trzewiki „dzieuchom”. Nam chłopakom kupował wszystko ojciec. Matka kupiła mi tylko czapkę.

Było to w trzy dni po „dojeniu kozy”. Na kolację był barszcz z ziemniakami. Matka wysmażyła słoniny malutko i skwarków było „kaj-niekaj”. Kiedy matka mieszała okraszone ziemniaki, mówiłem przedko pacierz — całe Zdrowaś i Wierze. Prosiłem Boga, aby przede mną wypadło najwięcej skwarków. Gdy już zaczęliśmy jeść, moje miejsce zajęła Todka. Musiałem go jej ustąpić, bo ojciec sięgał po pas. Polewana jedna. To ja dla niej zmówiłem taki długaczny pacierz. Od razu wiedziałem, że mi Pan Bóg na tamto miejsce skwarki popodsuwał. A na tym nowym to nie już znaleźć nie mogłem. Nic mi ziemniaki nie smakowały. Aż mi się w oczach kręciło ze złości. Dojadaliśmy już ziemniaków, gdy zaczęło się coś dużego. Niosłem akurat pełną łyżkę do ust a skwarek tam w moim dołku siedzi w donicy. Bronka też szczęścia dzisiaj nie miała, bo też przewaliła przegrodę z ziemniaków na swoją stronę i skwarek znikł. Machnąłem ją tą pełną łyżką przez głowę. Złodziejka jedna. Ona mi zaraz oddała swoją łyżką. Matka uderzyła mnie po ręce. Zaczął się krzyk i płacz. Skończyło się na tym, że ucho bolało mnie potem przed dwa dni.

*

W domu mówiliśmy zawsze po naszymu, to jest po chłopsku. Po pańsku, czyli „po ślachciuku”, jak mówiła ciotka Zjeńna, mówił w całej wsi tylko pan Ciarupa z panią nauczycielką, trzej policjanci i ks. Soiskala. Chociaż ksiądz to chyba nie, bo sam słyszałem jak z ambony krzyczał po chłopsku: Głupiśta, wy moje grzeszniki. Głupiśta jak te barany, — a barany to przecież nie pańskie słowo, tak samo kuń czy cielok. Po pańsku to nawet było wstyd mówić. Niech tylko ktoś we wsi powiedział jedno słowo inaczej, to już wszyscy wiedzieli i śmiech był z niego. I tak kował Głowacki nie nazywał się Głowacki a Psionkrew, bo nie chciał mówić po chłopsku; psionkrew tylko: psionkrew. Mój ojciec chodził często do Ciarupy albo do policjantów, bo chciał się wyuczyć ładnie mówić. Syn przecież będzie księdzem, to wstyd człowiekowi

będzie mówić po chłopsku — tłumaczył się. Czasem i w domu próbował z mną rozmawiać. Ja to myślałem, że mówi bardzo ładnie, ale matka, Władek i Bronka śmiali się strasznie z niego.

*

Najgorzej to było z tym „przez”. Każdy dobrze rozumiał, gdy się powiedziało, że „sed bez lasc bosco”. Albo — „bez co przysedeś dzisiaj przez ołówka”. Ciarupa jednak nie rozumiał i zaraz wrzeszczał: — Ośle, bałwanie, pandzieju.— Lubilem dlatego księdza Ścisła, bo on jak kto nie powiedział, to było dobrze, byle w ręce ojca duchownego pocałował a na „ochwiarę” Panu Bogu dawał to i owo. Nieraz to sobie myślałem, po jakimś też mówił Pan Bóg. Wiadomo, że po pańsku, bo przecież jest Modlitwa Pańska, chociaż i tę modlitwę mówimy w domu po swojemu... chleba naszego powszedniego dej nom dzisiaj...

Tylko czy Pan Bóg rozumie, jak się tak mówi, bo w księżeczce do nabożeństwa i w katechizmie stało inaczej. Ojciec powiedział mi, że do Pana Boga można mówić, jak się komu podoba — on i tak rozumie. Dobrze, a jak kto mówi po rosyjsku albo po niemiecku — to napewno nie rozumie. Albo jak są tacy czarni ludzie, o których opowiadał nam stary Jezuin, który w Prusach był i w Ameryce. Jak taki czarny zacznie się modlić, to po darmo chyba, bo jakby go Pan Bóg nie rozumiał, to co mu może dać za to?

— A Pan Jezus, to sobie z Matką Boską rozmawiają po żydowski — opowiadał mi Stach Cybuch. Matka Boska to przecież była Żydówka, a ja myślałem, że to była nasza polska Matka Boska, bo w kościele zawsze śpiewają: Oredowniczo Nasza, pośredniczo nasza, Ucieczko nasza... Chyba ten Cybuch cygani. I Stach Kubicki mówił, że to nieprawda. Mówił, że Pan Jezus na pewno wybrałby sobie inną Matkę Boską — nie Żydówkę. Jemu jego babka mówiła, że Matka Boska to była Polka — tylko Kubicki czytać nie umie chociaż już dwa roky do szkoły chodzi; jest głupi, to mu nie wierzę.

*

W naszej klasie było też i dwoje Żydów: Ryfka Mendlowa i Słomów Mosiek, który miał zostać rabinem, ale to nieprawda. Ciarupa sam mówił na lekcji, że Mosiek zotanie cycesem. Tego Moska to ochrzcziliśmy, ale to dopiero było w lecie. Mosiek siedział razem z Ryfką i mówili oni jeszcze inaczej niż my. — Co robi twój ojciec — pytał Ciarupa Moska.

— Moje tate dzisiaj nic nie robi, un miszli, odpowiadał Mosiek.

— O czym on myśli? — Un miszli z mame, bo sze nas Icek chce ożenicz. — Kiedy uczyliśmy się o koniu, Ciarupa spytał Moska, co to jest siano.

— Szano, to jest tako słoma, co sze najlepiej szpi na niej, co kuń zje i co rośnie na dzikie pole. — Żal mi było Moska, bo każdy

się z niego śmiał, a on każdego się bał. Chciałem nawet z nim siedzieć, ale chłopcy powiedzieli mi, że pójde za to do piekła, więc nie chciałem potem.

*

W naszej wsi a nawet w całej parafii byli czterech najważniejszych osoby. Pierwszym był Mendel Goldberg, bo wódkę miał, machorkę i pożyczal pieniądze, jeżeli komuś bardzo były potrzebne. Każdy kłaniał się panu Mendlowi i mówił: — Dzień dobry, Mendlu. Jak się macie.

A Mendel gładził długą brodę i odpowiadał cicho, pod nosem co sam chciał. Kto tam wiedział, co mówił, — może kłął na chłopca, że na wódkę nie wstępuje.

Mendla co prawda nikt nie lubił, bo był niechrzestny złodziej, ale on się za to nie gniewał. Drugą osobą był pan Ciarupa, bo jakby chciał, toby nikogo we wsi niczego nie nauczył i byłoby tylko same osły i barany tak jak w pierwszej klasie. Ale on tego nie chciał.

Trzecią osobą był ks. Ścisła a czwartą pan komendant policji. Był ostatni, bo chociaż komendant i policjant a nikt się go nie bał. Taki komendant a złodzieja nie mógł nigdy złapać. Bzymkowi pierzyny pokradli, Kulikowi gęsi i kury, Fałkowi krowę i — nie. Złodzieja nie było, bo pan komendant i wszyscy policjanci nie mogli go złapać. Komendantowi nikt się nie kłaniał, bo i za co? Najważniejszy jednak ze wszystkich był ks. Ścisła. To nic, że był na trzecim miejscu, on i tak był zawsze „najpierwszy”; i każdy go słuchać musiał. Każdy musiał zdjąć przed nim czapkę, w ręce pocałować, a ładnym głosem mówić. Każdy — czy to stary, czy młody. Bez Mendla można się było obejść — wódki nie pić, bez Ciarupy też — można było baranem zostać, bez komendanta także, bo przecież nie każdy był złodziejem, ale bez ks. Ścisła ani rusz. Urodził się kto, umarł, zachorował — do księdza przyjść musiał. Jeden się wypowiadać, drugi na mszę dać, trzeci o ślub prosić. A ks. Ścisła jak ten król chodził se po swojej plebanii i pacierze odmawiał. Wysoki był jak mój ojciec, tylko brzuch miał wielki jakby mu kto ze ćwierć ziemniaków do niego nasypał. Kiedy rozmawiał z kimś, ręce na brzuch zakładał. Jak baby całowały w te ręce, to wyglądało, że go w brzuch całują. Sam ks. Ścisła krzychał nieraz: — Cóż mę ty babo brzuch ślinisz?

A nos miał śmieszny. Duży, spuchnięty na końcu jak ziemniak. Kiedy go w kościele wycierał, to trąbiło coś w nim, że słyhać było aż na chórze. Czasem ten nos był jak nos, a czasem czerwieniał się jak burak, albo znów był siwy jak to niebo nad głową świętego, który wisiał w zakrystii.

Wszystcy bali się ks. Ścisła okrutnie. Dobry był, bardzo dobry; ale jak zaczął krzyczyć z ambony, to lepiej było urodzić się w innej parafii. Nawet Mendel bał się księdza. Stary Hamera, którego ks. Ścisła zawsze po ramieniu klepał i nazywał „mój świntuchu”,

opowiadał, że sam widział na swoje oczy, jak Mendel pocałował księdza w rękę, gasior wódki przyniósł i z płaczem prosił, aby więcej ludzi od wódki nie odmawiał. Ale ksiądz wódkę wziął, a w następna niedzielę jak nie zaczął krzyżować z ambony: — A wy pijusy, a zaprańcie, to taką śmierdzącą wodę żłopiecie u Mendla? Kosztowałem ją, krwią pachniała, pogany, krwią z chrześcijanina wytoczona.

Mendel drugi raz do księdza nie poszedł, ale ani słowa o nim nie powiedział. Bał się na pewno, bo ksiądz Ścisła był mocny i bić umiał. Raz, kiedy Siwy Jantek spowiadał się za długo, ks. rozgniewał się o coś na niego, wychylił się z konfesjonału i grzmotnął go przez łeb a krzyżować zaczął: — Bij się w piersi złodzieju, bij się w piersi. — Nieraz też przed małym ołtarzem leżał ktoś krzyżem ku wstydomu swojemu, bo każdy głupi wiedział, że musiał to być już wielki „grześnik”.

*

Ks. Ścisła jak każdy ksiądz na świecie nie miał co robić i dlatego byłem nieraz zły na ojca, że to nie mnie a Bolka na księdza przeznaczył. Wypowiadał co dzień parę bab, napił się kielich wina w czasie mszy, mōdlitwę jaką zmówił i już po robocie. Chodził sobie w lecie po sadzie, gruszek i jabłku zbierał i rozmawiał z psem Czekajem, który się za nim włóczył nie wiadomo po co, bo przecież do księdza sadu nikt na jabłko nie chodził; poświęcone były, żeby od nich powylaływały mogły. Odkąd zacząłem chodzić na naukę przygotowawczą do pierwszej spowiedzi, przysiadłem się pilnie jak się to spowiada. Siedzę sobie raz na chórze koło organów. Ułożyłem na poręczy grube śpiwniki pana Marka, żeby mnie widać nie było i parzę przez te księgi na konfesjonał. Ksiądz Ścisła siedzi sobie w białej „kumzy”, głowę przechylił i słucha, bo mu właśnie Gromcowa spod górki coś szeptał do ucha. Nie dosłyszał czegoś ks. Ścisła i zaraz:

— Głośni, czego się boisz. Grzeszyce potrafisz, a mówić nie? — i znowu słucha a głową jakoś kręci. Zmarszczył się: To chyba Gromcowa mówią, że coś ukradli.

— Ile razy; krzyknął znowu ksiądz? Gromcowa coś powiedziała ale chyba nieprawdę, bo ksiądz znowu: — Co, tylko dwa razy? — Będzie leżenie krzyżem, pomyślałem sobie, a ksiądz z kolei zaczął szeptać coś przez okienko.

Krzychał na pewno na nią po cichu, bo palcem jej groził przed nosem i w końcu ze złością krzyknął: — Bij się w piersi. — Gromcowa upadła na kolana, głową aż do posadzki i szeroko, całą pięścią walił się w piersi. Przed konfesjonałem cała jeszcze kupa czekała swojej kolejki.

— Usunął się, krzyknął nagle ksiądz Ścisła, usunął się.

Zacharkał i pluł na środek kościoła, ale źle celował, bo nie trafił w ten gruby filar. I znowu spowiada. Nagle jakby mu anioł coś

powiedział do ucha. Zerknął na chór i już stoi.

— He, ty urwipolciu, co ty tam robisz? Złaz mi tu zaraz! Złaz mi tu, bo cię ogniem piekielnym zaleję, krzychał.

Przykucnąłem od razu i patrzyłem przez szparę a ksiądz walił prosto na chór.

No, koniec ze mną, pomyślałem sobie. Jeżeli złapie, zamknę w zakrystii na cały dzień, bicia się już nie liczy.

*

Byłem już w trzecim oddziale, kiedy zrozumiałem, że w naszym domu było dwoje ludzi za dużo: ja i moja matka. Najpierw ja, bo byłem słaby i do żadnej roboty się nie nadawałem, byłem brzydki, chudy i krapaty. Wszystko było u mnie nie tak jak trzeba. Ręce i nogi za cienkie, głowa za duża, żeby pokrzywić. Słowem — „odmieniec”. Im większy rośłem, tym stawałem się brzydszy i zaważałem wszystkim. Potem matka. Ale matka przeskadzała tylko ojcu, a ja wszystkim.

Nikt nie znał na pewno mojej matki? Pewnie, że nie. Siedziała przecież całe dnie, miesiąc i lata w domu. Nigdzie nie wychodziła: ani do sąsiadów, ani do krewnych. Raz na tydzień ubierała się w wełniany sorc, w czarną chustkę na głowę i szła szybko do kościoła na mszę a potem znów szybko wracała do domu — obiad gotować. Na sumę nie wolno jej było chodzić, bo za długo się ciągnęła. Zresztą matce musiała wystarczyć ranna msza. Na sumę chodzili tylko prawdziwi gospodarze i zamożne gospodynie, które miały w domu służące albo dorosłe córki. Oprócz tego w naszym domu zawsze ktoś był mały. Zaledwie jeden podrosł, już następny zajmował jego miejsce w łóżku.

Malutka była ta moja mama. Ja, choć dopiero jedenasty rok miałem, a byłem już prawie tak samo duży. Mała, z czarnymi włosami i siwymi oczami sama nie wiedziała dokładnie, ile miała lat i nikt tego nie wiedział. Mogła mieć trzydzieści pięć albo dwadzieścia pięć i ja nie wiedziałem. Zawsze była jednakowa. I za dwadzieścia lat była taka sama. Nigdy nie chorowała, chyba, że bociek przyniósł do domu nową siostrę lub brata, to leżała jeden dzień w łóżku, więcej ze zmartwienia, że ojciec się złościł o to przynoszenie dzieci niż z choroby. Albo czasem kładła się na pół dnia, bo ją głowa bolała. Czy ładna była, tego nie wiedziałem, bo nigdy się nie ubierała w takie suknie jak pani Ciarupowa. Nikt nie widział nigdy mojej matki, ale każdy mógłby ją poznać nawet na jarmarku lub na odpuszcie, gdzie tak dużo ludzi bywa. Miała pod lewym okiem na policzku taką podkową białą, jakby kto sierpem ciął. To była kiedyś rana, ale zagoiła się i został ślad. Matka mówiła kiedyś Zielińskiej, że szła po drzewo i rozciąła sobie na polanie, ale to była nieprawda. My w domu wiedzieliśmy, że to ojciec tak zbił raz matkę.

Stanisław Orzeł

Jan Jelonek

„GRYPSIARZE” TO TEŻ PISARZE

Głos Czytelnika

W Nr 3 („Wiś” z dnia 6.I br.), jest umieszczony inserat omawiający przygotowawaną do druku książkę pt. „Wiś, jaka przemiała”. Z umieszczonego tam spisu rozdziałów można sobie wyrobić bardzo jasno pogląd na treść tego przyszłościowego podręcznika.

Z mojego punktu widzenia, gdy odczuwam brak skrytykowanego poglądu na istotę przemian, taka książka staje się co najmniej pożądanym podręcznikiem.

Miedzy okresem sprzed 1 września 1939 roku a okresem obecnym zaistniała jak gdyby bardzo gruba i wysoka ściana, która spowodowała, że w jej cieniu nie możemy niejednokrotnie odnaleźć siebie, zagubionych w rzekomo słonecznych czasach przedwojennych. Poza tym, przeżywając okres okupacyjny, miniliśmy jak gdyby most między prawym i lewym brzegiem naszego życia. Most pełen długoletniej bierności, tragizmu i hekatomba bólu. Nagle z niego zejście spowodowało dla niejednego przykre kolizje duchowe, które stały się niejednokrotnie powodem zapędzenia w ślepa uliczkę. Po prostu brakło nam przewodnika, który by po przejściu tego mostu objaśniał nam istotę przemian i ich końcowy cel.

Odnoszę wrażenie, że takim właśnie przewodnikiem i zarazem nauczycielem stanie się to najmłodsze, jeszcze nie narodzone dziecko „Wiś”. Chodzi tylko o to, żeby jak najprędzej znalazł się wydawca, który by zechciał to dziecko usynowić. Poza tym, jeśli ono ma spełnić swoją rolę wśród najszerzych warstw postępowych chłopów, winno w swej materialnej postaci być dostępne dla wszystkich, a szczególnie i dla tych biedniaków, spośród których najwięcej bywa dobrych przodowników wsi.

Byłoby może wskazaniem, aby Redakcja „Wiś” zechciała spełnić rolę akuszerki dla swego dziecka i obliczywszy w przybliżeniu koszty wydawnictwa, ogłosiła jego sprzedaż na warunkach prenumeraty. Sposób ten dawałby wydawcy gwarancję rozprawienia określonej — opłacalnej ilości egzemplarzy, a czytelnikowi możliwość zakupu wartościowej książki na dogodnych warunkach.

Czytamy w prasie, że kultura winna być udziałem całego społeczeństwa. W tym znaczeniu wszyscy, którzy mają pewien „pociąg” do pióra, winni brać udział w jej upowszechnianiu i budowaniu. Nie mówię tutaj o innych działach kultury, na których się nie znam.

Niestety nie wszyscy mają, jak dotychczas, jednaką możliwość startu. Jedni, mieszkający w miastach czy ośrodkach o promieniującej kulturze, są bliżej ołtarza. Mają przy tym przeważnie wyższy poziom naukowy, łatwiej dają sobie radę z przyswajaniem nowych prawd i nowych zdobyczy. Inni zaś, mieszkający na mniej czy bardziej odległych wioskach, zdani na samodzielne wyrabianie sobie sadu o sprawach dorywczo wyczytanych, w tej czy innej gazecie, nie mogą nadażyć w tym wysiłku o powszechność kultury. Tym bardziej, że są to wszystko ćwierć czy półinteligenci, to i nie wszystko im jest w każdej chwili zrozumiałe. Poza tym, mieszkam wsi, zaorany od świtu do nocy w pracy gospodarczo-zawodowej, czy najemno-zarobkowej, w ciągłej trosce o byt swojej rodziny, nie zawsze dysponuje dostateczną ilością czasu, potrzebnego do przestudiowania zmian, jakie wokół niego zachodzą.

A jednak, gdy czasem poczuje coś na wstrębie, lub gdy go nadejdzie taka ochota do pisania, bierze pióro i próbuje gładkości papieru. Po napisaniu przesyła swój utwór do redakcji, aby ją uszczęśliwić swoją „pracą”, w tej wielkiej nadziei, że w ogromnym tłumie budowniczych kultury powszechnej i dla niego znajdzie się miejsce. Niekiedy, że ma tylko szkołę powszechną, a czasem i tego nie ma, albo jest zwykłym samoukiem — ma myśl, którą przyobekł w kształty liter i przez podzielenie się z szerokim otoczeniem pragnie uzyskać ocenę jej słuszności. Pragnie w ten sposób niejako wybadać stopień swej dojrzałości kulturalnej i politycznej czy fachowej.

Dobrze jest, gdy redakcja umieści taki artykuł, bo tym samym niejako upoważnia go do dalszego pisania. Jeszcze lepiej gdy ta sama redakcja zaopatrzy taki artykuł w swoje zdanie odnośnie omawianej sprawy. Gorzej, gdy ta sama redakcja zasypana stosami rekwizytów, wybiera z nich, co jej zdaniem jest najlepsze, a resztę wrzuca do kosza, nie dając autorom żadnej odpowiedzi. W tym wypadku autor nieszczęsny pełen jest najpierw oczekiwania a następnie rozgorzceń, że został zlekceważony. Lekceważenie gorzej boli od najostrzejszej krytyki. Takie postępowanie niektórych redakcji jest najwzrostem utracaniem wiejskich korespondentów i debutantów. Powiedzmy, że pisze bzdury lub wóde, to trzeba mu to powiedzieć, aby się nie zniechęcał i dalej pracował. Nawet wśród stosu płytych myśli może czasem trafić się perła, a autor tego nie zauważy,

gdy mu życzliwy choć surowy krytyk nie powie.

Największym jednak nieszczęściem dla takiego autora spod wiejskiej strzechy jest, gdy podpadnie pod pióro krytyka, który nie licząc się z mentalnością pisarza, nie bierze pod uwagę jego myśli i zapatrywań, ale czepta się jego osoby i rozstawia mu familię po kątach.

Tak to wygląda, jak gdyby taki krytyk tylko oczekiwał na próbę wejścia profana kultury do zamkniętego „klanu twórców kultury”, aby już w progu krzykiem go odpędzić. Nie wynika taki krytyk w sedno sprawy, nie stara się rozróżnić stopnia startu między zawodowym i wykształconym literatem, a dorywczym z „Bożej łaski” grypsiarzem. Nie oceniając jego błędów zawartych w wypowiedzianej myśli lub też obok tego, krytykuje i samego autora.

A przecież wiadomym jest (może nie każdemu), że człowiek nie rodzi się doskonałym, ale poprzez współzycie z odpowiednim środowiskiem może się doskonalić i cyzelować do pożądanego formy.

W tym wypadku naprawdę z radością przyjmujemy wypowiedź L. Sobierajskiego w tymże numerze „Wiś” w art. „Potwierdzenie naszego stanowiska”, gdzie w zakończeniu autor pisze: „Autorzy szczerze oświadczają, gdy w krytykach przestaną widzieć swych antagonistów, a dojrzą sprzymierzeńców”.

Sprawa ta łączy się zresztą z oświadczeniem M. Czuiły, w tymże numerze „Wiś”, który w art. „Minione pisarstwo chłopiekie” pisze między innymi: — „Zdaje sobie sprawę, że każdy terazniejszy pisarz „chcąc z żywymi napród iść”, musi zejść z utartych szlaków dotychczasowej twórczości i nie przekreślając, ani się wstydząc tego, co stworzył w innej epoce, czy ustroju państwowym, powinien rozwijać się dalej do nowego ustroju”.

Mam niezłomną nadzieję, że właśnie „Wiś” jako przemiała”, po swoim ukazaniu się na półkach księgarskich, przyspieszy proces przekształcania się całej plejady „grypsiarzy”, będących w awangardzie powszechnej kultury w nowy ustroj.

Mam też wrażenie, że przyjdzie taka chwila, gdy nie będę musiał w poważnym piśmie literacko-naukowym widzieć tego rodzaju niepozytywnych wyrażań, na jakie pozwolił sobie w tymże numerze „Wiś” F. Starzec w art. „Sztamowcy mówią”. Piszcie on między

innymi pod moim adresem: — „Nie urodziłem się działaczem jak i Wy nim się nie urodziście. Gdybyście się wychowali u dzikich Indian na pewno dzisiaj nie pisywalibyście artykułów, a skakali przy ognisku, ogryzając kości. Nie mówilibyście też po polsku, a gdyby wychowała Was małpa, wydawalibyście tylko pomruki”. Coś mi się widzi, że autor tego, poza ukończeniem liceum, przeszedł również wyższe studia w „Smorgoni”, że zdobył się na tak jasne przedstawienie sprawy. Szkoda tylko, że tak mało do książek zagląda i nie wie o tym, że już dawno Indianie przestali być dzikimi ludźmi, a nawet — o groźno — pozwolili sobie na własnego pisarza, bardzo ciekawie opisującego zjawiska przyrodnicze, a między innymi i bobry, wykazujące o wiele wyższą inteligencję od posiadanej przez „licealistę”.

Reasumując powyższe wywody, pozwalam sobie na złożenie prośby w imieniu równych mnie grypsiarzy, zestawione w następujących punktach:

1) Szanowni koledzy literaci, dopuście nas niedouczone grypsiarzy do źródła wiedzy i umożliwcie nam możliwość upowszechniania kultury.

2) Szanowni Krytycy, krytykujcie ostro i szczerze nasze myśli i poglądy, ale zostawcie nasze osoby i nasze rodziny w spokoju. Nie nasza wina, że mniej od Was umiemy. Przyznajemy Wam prawo do naszych prac i artykułów ale nie naszych osób.

3) Szanowni Wydawcy, poza dbałością o swoje budżety, zadbajcie i o wydawnictwa, które by nas uczyły i dla naszej kieszni były dostępne. W obecnych cenach, dostępne są książki tylko dla zamożnych.

4) Szanowne Redakcje, odrzucając artykuły do kosza, bądźcie łaskawe podawać autorom przyczyny, jakimi się powodujecie. O wiele trudniej jest artykuł napisać, aniżeli go unicestwić. Na błędach jednego winien się autor uczyć opracowując następny.

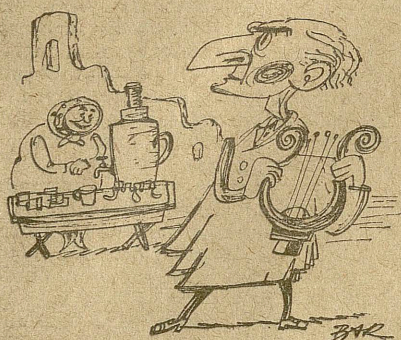
5) Szanowna Redakcja „Wiś” nie gorsz się błędami zawartymi w naszych artykułach, ale jak kokosz kurczęta, tak Ty przytul nas do siebie. Ucz i wychowuj przodowników wsi. Poprzez rzeczową dyskusję cierpliwie zwracaj nas z fałszywej drogi i wskazuj drogę prawdziwą.

Do wszystkich grypsiarzy: — dyskutujcie z poglądami a nie z osobami. Nie jest miłe dla czytelnika przysłuchiwać się osobistym wycieczkom czy przyczynkom. Porąbka, dnia 14 stycznia 1949 roku.

Genowefa Szturhaniec

„SKAMANDER” REDIVIVUS?

Mniej więcej 30 lat temu w endeckich kręgach Warszawy wrzało. Późniejsi Skamandryci robili „rewolucję”. Z estrady „Picadora” padały słowa grzmiące i groźne. Pamiętano wczesny skandal wokół „Wiosny” Tuwima. Konfiskata pierwszego nakładu „groźnej” „Czarnej wiosny” Słonimskiego — przemyczonej zresztą bez większych skrótów w tomiku „Parada” (1920) — stała się głośna dzięki skamandryckim atakom na cenzurę. Wystąpienia młodych poetów uzyskiwały dzięki zgodnej akcji



klerykalno - endeckich pisemek nalepkę „komuny” i „bolszewizmu”.

Legenda ta wymagałaby niewątpliwie rewizji.

Owczesna sytuacja społeczna Polski każe zlokalizować ten „rewolucjonizm” bynajmniej nie na istotnej lewicy układu sił politycznych. W rewolucyjnej atmosferze lat 1918 — 23 radykalizacja pew-

nych grup inteligencji mieszczańskiej wy-dawała się niewątpliwą. W Polsce „świa-toburcze” żywioły inteligentkie prócz hasel antywojennych głosiły zasady re-formizmu, skierowanego przeciw nadu-życiom wielkiego kapitału. Aprobata pań-stwowości polskiej i walka z nadużycia-mi — to istota politycznej marszruty „Skamandra”. Sojusz z ruchem robotni-czym był pozorny. Skamandryci nie by-li w stanie dostrzec we właściwych wy-miarach proletariatu i jego walki. Dyna-mikę rewolucyjną dorobili drobnomiesz-czaństwu. Upatrywano ją w nienawiści tzw. „niższych sfer”, systematycznie upo-karzanych niedostępnością stopy życio-wej bogatego mieszczaństwa:

„Ta goręca wzbiera u fryzjera,
przed którym dama się rozbiera,
patrząc na niego jak na mebel...”

pisał Antoni Słonimski.

Kierunek dynamiki rewolucyjnej w twórczości Skamandrytów wyznaczały więc psychologizmy i pojmowane kom-pensacyjne dążenia drobnomieszczań-stwa i protest przeciw konwenansowi oby-czajowemu. Dążnościami tym patronowały e-cha Wielkiej Rewolucji Francuskiej i ko-stiumologia burżuazyjnej walki o wol-ność. W takich wymiarach dostrzegali Skamandryci rewolucję społeczną. Ter-min „lud” w poezji ich znaczył tyle, co drobnomieszczaństwo i lumpenburżuazja.

Drobnomieszczańin przez furtkę rewo-lucji wszedł do poezji „Skamandra”, by

nie opuścić jej już do ostatka. Stał się organizującą siłą poezji Skamandrytów, najtrwalej jednak zadomowił się w twór-czości Tuwima.

Męczeńskie życie drobnomieszcza-nina dostarczyło schematu losu ludzkiego większości wczesnych wierszy Tuwima. Tragedia Płaskinów, tęsknota do małego miasteczka, typ sentymentalnej erotyki wspomnieniowej — to indywidualny wy-ras drobnomieszczańskiego adresu poezji Skamandrytów.

W późniejszym okresie twórczości Tu-wima — w epoce jego ewolucji w kierun-ku izolacjonizmu społecznego, w kierun-ku ekskluzywnej poezji „zieleni” — ele-menty krytyki mieszczaństwa („Strasni mieszczańskie...”) współistnieją z dawnym chwytem widzenia chaosu świata w kate-goriach pojęć fryzjera. Nie darmo Teodor Bujnicki sparodiował trafnie tytuł „Bi-blii cygańskiej” — była to istotnie „bi-blia mieszczańska” wielkiego poety.

Powojenna twórczość Tuwima, treść zapowiedzianego nowego tomu wierszy stanowi dotychczas tajemnicę. Milczenie swe przerwał Tuwim publikując w 3 (216) N-rze „Odrodzenia” wiersz pt. „Ab urbe condita”.

Założycielko! Pionierko! Muzo!

Dziś—stuk i łomot w całej Warszawie
Ku twojej sławie!

Dziś każdy murarz każdą nową cegłą
Pomnik twój wznosi! —

grzmi dytyramb ku czci człowieka Od-budowy, adresowany jednak po staremu do warszawskiej paniusi...

Bo społeczna przekupka jest tu prze-cież, jak za dobrych czasów Kilińskiego, symbolem bohaterstwa „ludu” Warsza-wy. Okrzyk „do chierbaty, do świeżego ciasta” wieńczy niestety u poety rewolu-cję 1944—5 roku. Niegdyś chcieli Ska-mandryci przy dźwiękach Marsylianki reżyserować swą rewolucję społeczną z r. 1918.

Zmonumentalizowana paniusia z rogu Marszałkowskiej patronuje u Tuwima warsztatom łódzkim („sława!”), śląskim kopalniom i hutom („sława, sława!”). Gdyby tak miało być, byłaby to wręcz przerażająca wizja triumfu wroga klaso-wego.

Paniusia, która robiła zasłużoną karie-rę jako markietanka napoleońska lub jeszcze nawet w r. 1861 jako uczestnicz-ka manifestacji patriotycznych, osobi-ście wygląda w roli Muzy Polskiej Ludo-wej. Kobięcinka ta odznaczała się bo-wiem zawsze zdrowym rozsądkiem i nie działała wbrew własnym interesom. Dziś we Wrocławiu i Szczecinie („miastach wojewódzkich — sława, sława!”) bywa wprawdzie Pionierką, lecz Komisja Spe-cjalna zdradza na ogół mało zrozumienia dla jej „założycielskiej” działalności.

Coraz ciśnie Muzom drobnomiesz-czaństwu. 17 stycznia 1949 r. minął już bowiem ab urbe condita — rok czwarty.

Józef Piętek

NA DRODZE DO POEZJI POLITYCZNEJ

W ostatnich czasach w poezji naszej daje się zauważyć dość ciekawe zjawisko.

Na łamach pism literackich coraz częściej zaczynają pojawiać się dłuższe utwo-ry poetyckie, przekraczające rozmiarami spo-tykane zwykle wiersze. Pojawiają się dłuż-sze fragmenty poematów, ba, całe poematy. Poeci, zwłaszcza najmłodszego pokolenia, nie mieszczać się widocznie w ramach krótkiego wiersza przypuścili gwałtowny szturm na ten rodzaj literacki. Bratny, Gruszczyński, Wirp-sza, Woroszyński, a nawet Flora Bieńkowska oto ich nazwiska.

Ponieważ poematów powstaje coraz więcej, zaczynają rodzić się niepokojące pytania:

Czy poeci ci przypadkowo sięgnęli po ten właśnie rodzaj literacki? Czy ukazania się obecnie rodzaju poematu epickiego jest uzasadnione? Czy to może tematyka społeczna i polityczna treść poezji rozbiła dotychcza-sowe ramy wiersza i kazała poszukiwać no-wego poetyckiego rodzaju?



Czy też może nazwać to artystycznym buntom najmłodszego pokolenia poetów, któ-rzy zdecydowanie zapragnęli przeciwstawić się estetyce starszego pokolenia poetów?

Jednym słowem, jakie jest źródło tej epiki?

W tzw. okresie międzywojennym, czyli od r. 1918—1939, wtedy, gdy poezja polska przeżywała bezspornie bogaty i barwny okres rozwojowy — poematów prawie że nikt nie pisał. Najwibitniejsze grupy poetyckie, jak np. „Nowa Sztuka”, formiści krakowscy, „Skamandryci” przeciwstawiając się estety-ce „Młodej Polski” walczyły każda na swój sposób o oszczędność poetyckiego wyrazu o k'ndensację poetycką. Rozgadaniu Kasprowi-cza przeciwstawiano zwarta konstrukcję wiersza. Przypadkowym, dowolnym meta-forom — oszczędna elipsa. Nie mogło być mowy o poematach pośród poetów „Nowej Sztuki” i poetów „Zwrotnicy”. To co nawet próbowali oni nazwać poematem, było ra-czej cyklem skondensowanych, niekiedy prze-sadnie nawet skondensowanych wierszy. Pró-by poematów Słonimskiego nie były ani cha-rakterystyczne dla tego poety, ani też bynaj-mniej nie oznaczały jego szczytów poety-ckich. Jeden z lepszych poematów tego okresu „Słowo o Jakubie Szeli” Brunona

Jasieńskiego, powstał pod wyraźnym wpływem Jesienina, i pomimo swoich bezspornych poetyckich zalet był utwo-rzem niezbyt dobrze skonstruowanym, w którym obce wpływy nie zawsze artystycznie przetrawione rozbiły koncepcję utworu. Jedynie tzw. „Czartakowcy” tj. poeci, którzy grupowali się w swoim czasie wokół Emila Zagadłowicza, sypali jak z rekiawa poemata-mi. Spóźniony ekspresjonizm niemiecki, mło-dopolszczyzniana technika poetycka i pseudo-ludowość, będąca wyrazem typowego provin-cjonalizmu poetyckiego pozwalała na nie-skrępowany rozlew słowny. „Czartakowcy” już wówczas stojąc na uboczu literatury nie tylko nie rozumieli tego wszystkiego, co przynosił poeci „Nowej Sztuki” albo nawet „Skamandryci”, lecz przeciwstawiając im roz-gadana, nieskoordynowana „liryczność” opar-tą na religijnych motywach — nie potrafili stworzyć ani jednego wartościowego utworu. Cała ich twórczość już w tej chwili intere-sować może jedynie historyków literatury. Po r. 1945 prób pisania poematów prawie nie było. Julian Przytyk na łamach „Odro-dzenia” przesadnie być może gromił wszyst-kie przejawy rozgadania poetyckiego. Wier-sze, jakie ukazywały się w tym okresie, były nad wyraz skondensowane, element konstruk-cyjny stał się w nich bodajże zasadniczym elementem utworu. Zwięzłość i kondensacja charakteryzuje również większość utworów wybitniejszych poetów „Kuźnicy”, jak np. Wazyka albo Jastruna. To samo zauważyć można w twórczości Miłosza, Zagórskiego i innych.

Piotr Pigwa

ORGANIZACJA KULTURY W TIUTIURLISTANIE

W 52/53 numerze „Odry” zwraca uwagę artykuł Juliusza Nowak-Dłużewskie-go pt. „O politykę kulturalną ośro-dków prowincjonalnych”. Wynika z artykułu, że źle się dzieje z organizacją kul-tury na naszej prowincji, szczególnie zaś w Kieleckim. P. Dłużewski wywodzi się wła-snie z kielecczyny i póki tam przebywał, gło-su na temat organizacji kultury na tym tere-nie nie zabierał. Widocznie było dobrze. No, ale teraz, po jego wyjeździe jest źle, Wojewódzki Urząd Kultury i Sztuki organizuje nie kulturę, tylko mgławicę.

A jak kulturę organizować? Aby sobie na to tak ważne pytanie odpowiedzieć, stresci-my wykład autora wspomnianego artykułu.

Najważniejszym problemem w organizacji kultury jest problem personalny, sprawa wynalezienia osoby „rozumnej, światłej, tak-townej i — co rzecz ważna — z charakte-rem”. Program pracy to dopiero druga rzecz. Wynaleziona osoba zorganizuje w podległym jej terenie tyle ośrodków kulturalnych, ile było. Nie więcej, bo zawiśnie „taksownie w powietrzu”.

„Oczywiście jest rzeczą — pisze p. Dłużew-ski, — że przy takim postawieniu sprawy 1) tyle musi powstać programów polityki kulturalnej, ile mamy tradycyjnie twórczych naszych ośrodków lokalnych; 2) każdy pro-gram musi mieć oblicze odrębne, indywidualne, niepowtarzalne...”

Bo w Polsce co kawałek to inna kultura.

Próbą raczej chybioną były fragmenty epickie Stanisława Pietaka „Partyzant i dziewczyna”, w których nowelkowatość akcji połączona była z prozatorskim tokiem opo-wiadania. Czytaliśmy również fragmenty po-ematu Juliana Tuwima „Kwiaty polskie”, ale wynikiły one z zupełnie odmiennego niż u naszych młodych poetów nurtu tradycji li-terackiej. Wydaje się, jeśli wolno sądzić z fragmentów, że będzie to nowa stylizacja staropolskiej gawędy — mieszaniny elemen-tu wspomnienia „dawnych dobrych czasów” i humorystyki z leżką.

I oto w roku 1948 nagle jak z rekiawa za-czynają się sypać poematy. Jak wytłuma-czyć taki bujny urodzaj? Sądzę, że tzw. hasło uspołecznienia poezji, upolitycznienia jej wniosło nazbyt wiele treści, które nie mogły się zmieścić w ramach konstrukcyj-nych zwykłego wiersza. Tylko, że te nowe wartości okazały się nazbyt dynamiczne. Oszczędność wyrazu poetyckiego zastąpiono słowolejstwem, gadulstwem. Słaby, trzyma-ny w ryzach surowych poetyckich rygorów wiersz, zaczął się rozrastać i pęcznić jak gąbka nasiąkła wodą. To jedno. Drugą przy-czyną może być nazbyt chaotyczne szukanie wzorów poetyckich. Jeśli się przyjrzyć bli-żej tym poematom, dostrzeżemy przedziwną mieszaninę wpływów. Od Niedogonowa, Kir-sanowa, Majakowskiego, rozpuszczonych w post-ekspresjonistycznym sosie, z Jesieninow-ską przyprawką, aż do bezpośrednich wpły-wów poezji francuskiej, no i rzecz jasna la-cifsko-amerykańskiej. W ten sposób poetykę Pablo Nerudy wmontowaną w technikę po-

etycką Eluarda połączono z retoryką Maja-kowskiego, z charakterystycznym dla poezji rosyjskiej ostatnimi czasami ludowym gawę-dziarskim tonem. Ten właśnie ton ludowości naśladuje Woroszyński stwarzając dysonans między zamierzoną rewolucyjną treścią, a przyjęciem zapożnionego u nas schematu lu-dowej gawędy. Panegiryczny wydźwięk po-ematów Kubiaka połączony z rozlewnością poetycką wytworzył u tego poety pewien hiperboliczny gatunek metafor. Niezbyt su-rowa odpowiedzialność za wyraz poetycki wytwarza często przypadkowość w doborze słowa. Zjawisko takie staje się charaktery-styczne zresztą nie tylko w poematach ale też i w krótkich wierszach panegirycznych, jak np. u Wygodzkiego, który buduje nie-kiedy zwrotki złożone z samych rzeczow-ników lub przymiotników, które nie pod względem poetyckim nie znaczą i z łatwością mogą być zastąpione każdym innym słowem. Nawrót do Majakowskiego jest zrozumiały i mógłby być bezspornie twórczy, gdyby był dialektyczny a nie mechaniczny. Gru-szczyński i Bratny podpatrują tylko jego technikę, jego „chwyty poetyckie”, a prze-cież tego rodzaju nawrót nie może być nigdy twórczy. Majakowski jest zjawiskiem nie-powtarzalnym. Wyrósł w określonej epoce i wielkość jego między innymi polega na je-go oryginalności, na tym, że jest jedyny. Mo-żna się na nim uczyć, należy go analizować, ażeby zrozumieć, na ile odmienną drogą kro-czyć powinien w naszych czasach poeta, który chce być naprawdę politycznym pisa-rzem.

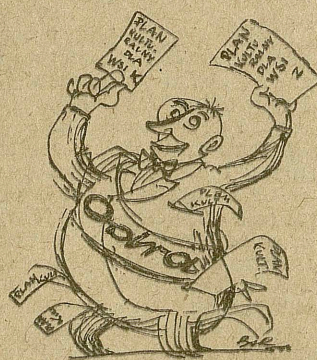
łać do życia specjalne instytucje dla badania kultury. Jakże instytucje? Jasne, że takie, które już były, inaczej rzecz by zawiśła w po-wietrzu.

W kielecczynie np. można by wznowić dzia-łalność Towarzystwa Krajoznawczego, wzno-wić inwentaryzowanie zabytków poszlachec-kiej kultury, wieszać wizerunki zamków, pa-laców i kościołów na ścianach muzeów, pod-głądać chłopów na weselach, słowem odgrze-bać tradycję ludomańskiego regionalizmu. No, bo to już było.

Teraz już wszystko jasne. Teatry, robotni-cze, domy ludowe, świetlice, biblioteki gmin-ne, chóry robotnicze (częstochozowskie), woj. kieleckiego odniósł szereg sukcesów nie tyl-ko w regionie ale i za granicą, ogniska kultu-ry plastycznej na prowincji, kluby literackie, objazdowe wystawy malarskie — to wszyst-ko jest mgławicą, wiszącą w powietrzu. Dla-tego, że historia, tradycja kulturalna podob-nych instytucji nie znała.

Naczelnicy Wojewódzkich Wydziałów Kul-tury i Sztuki, opamiętajcie się póki czas! — Porzućcie walkę o jednolitą kulturę, otwo-rzenie nowych jej ośrodków! Pan Dłużewski chyba przekonał wszystkich, że nie ma ona sensu.

Myszę, myszę i nie mogę wymyślić — skąd taki artykuł w „Odrze”. Bo że jest pismem regionalnym, o tym wiedziałem zawsze. Czyżby i schronieniem dla regionalistów, którzy już byli? I to conajmniej 50 lat temu.



Sprawa Mindszenty'ego

W czasie wojny kardynał Mindszenty mówił, że „możemy być dumni z naszych młodych żołnierzy. Młodzież nasza ożywiona bohaterskim, bojowym duchem swych przodków, jedyną warstwą zdolną do przewodzenia narodowi ze względu na swoje bogactwa, kulturę — została pozbawiona możliwości egzystencji”. Mindszenty bronił najprzód hitlerowców, potem obszarników (obrona pierwszych wynikała z obrony drugich) w końcu zaś... Poseł U.S.A. na Węgrzech Artur Shoenfeld potwierdził współpracę Departamentu Stanu z Mindszentym. „Listy nasze z 12 grudnia i z 16 grudnia dotyczące spraw wewnętrznych Węgier domagały się pomocy rządu Stanów Zjednoczonych w celu zmiany pewnych warunków, które wasza Eminencja potępia”. Droga Mindszenty'ego prowadziła konsekwentnie od współpracy z adm. Horthy'ym i hitleryzmem do współpracy z Departamentem Stanu.

Zdrada jest wyraźna. Uwieszenie Mindszenty'ego jest słuszne. Nie dziw, że nikt nie wazy się go bronić.

K. S.

Na pochyłej drodze

Ciekawy artykuł Zofii Dąbkowskiej „Pewna powieść francuska” zamieściło w ostatnim (4(217)) numerze „Odrodzenie”. Jest to recenzja i zarazem streszczenie powieści francuskiej „Comme un vol des Gerfauts” — Françoise d'Eaubonne.

„D'Eaubonne próbuje rozszyfrować psychikę i światopogląd młodych, którzy z Niemcami nie walczyli — pisze autorka — „Zapamiętanie autorki są reprezentatywne dla twórców, którzy zerwali z racjonalistyczną i demokratyczną tradycją zrodzoną we Francji przez wielkie ruchy ludowe XVIII i XIX w.”

Akcja książki rozgrywa się na przełomie XVI i XVII w. w Anglii, Indiach, na oceanach Atlantyckim i Spokojnym. Jest to okres wojen religijnych i narodowo-wyzwoleńczych.

„Bohaterów (w powieści) jest właściwie dwóch, dopełniających się wzajemnie i tworzących razem (zdaniami d'Eaubonne) człowieka przez wielkie C, swego współczesnego „Ecce homo”. Bohaterzy ci, to dwie odmiany typu zdeklasowanego inteligenta. Van Sterteen — bierny agnostyk — rezoner i Saint Benoist — cyniczny konkwistador: oto jedyną postać, które wyłowiła autorka z wielkiej zawieruchy dziejowej, z kłeski i zmagani społecznych przełomowych lat Reformacji.

Credo autorki zostało szerzej rozwinięte w posłowie.

Po pierwsze: „Życie trwa zawsze, nie nie „przemija” ani nie „zjawia się” w najbardziej nawet ożywionym istnieniu, a crescendo wypadków jest tylko wynalazkiem powieściopisarzy. Ta sama nicłość, która pochłonie nas, pochłonie zapewne zarówno kłeskę jak chwale”...

A więc negacja rozwoju zarówno w życiu jednostki, jak w życiu społecznym (pessimizm). Ta postawa autorki znajduje wyraz nie tylko w epilogu i w wypowiedziach bohaterów, ale w budowie fabuły powieści. Wódz i towarzyszące mu jednostki wyrwywa się co prawda ze współczesnego zamętu społecznego, wznosząc się ponad ludzkość, stają się założycielami nowego społeczeństwa, ale społeczeństwo to, jak się okazuje, wcale nie jest doskonałe od tego, którym wzgardził. W triumfie Oldhorse'a tkwi i jego kłeska.

Po wtóre: do czynu, do twórczości, do życia popycha nas nieunikniony i wieczysty fatalizm praw biologicznych. One rodzą walkę.

Agnostycyzm filozoficzny i cynizm w dziedzinie moralności, antyhistoryczna, odrzucająca rozwój analiza przeszłości, wulgarny biologizm tłumaczący zjawiska społeczne prawami rządzącymi światem zwierzęcym, przeniesionymi żywcem na ludzkość, kult silnej indywidualności, wodza jednego spośród milionów, który dzięki swej woli wyłamuje się z wieków biologii i wieków społecznych wnosząc się ponad dobro i zło, który jeden może drepnąć w kółko historię, zmusić do galopu na oślep, przed siebie — oto w wielkim skrócie system myślowy d'Eaubonne. I nie tylko d'Eaubonne. Oto system myślowy pewnego odłamu inteligencji francuskiej.

Jest to bez wątpienia system myślowy pewnego odłamu inteligencji francuskiej. Ale jest to też — ten fatalizm i pesymizm, to zagubienie w ginącym świecie burżuazji, w anarchii życia kapitalistycznego — system myślenia całej inteligencji burżuazyjnej. Powieść d'Eaubonne jest tylko poszczególnym exemplum tego głębokiego pesymizmu i dekadentyzmu pesymistycznych, dekadentkich, wyrażających gnienie kapitalizmu — publikacji, publikacją jedną z wielu w tym duchu pisanych, które pojawiły się na rynkach krajów burżuazyjnych — w Niemczech, w Anglii, we Francji, w Ameryce. To jest exemplum rozkładu kultury burżuazyjnej.

K. S.

„O pięciu panach Sulerzyckich”

Szanowni Koledzy!

Wraz ze mną mieszka przez ścianę pięciu starych kawalerów. Wszyscy pracują w rozmaitych urzędach naszego miasteczka. Jeden, inżynier rolny, dawniej naczelnik Urzędu Ziemskiego, eks-ziemianin, obecnie pracow-

nik Wydziału Rolnego. Drugi — specjalista od melioracji. Zdrenował przed wojną sporo szlacheckiej ziemi, między innymi — majątek inżyniera rolnego. Trzeci pracuje w Wydziale Kultury i Sztuki jako znawca antyków. Czwarty był lekarzem z szeroką praktyką, gdzieś na wileńszczyźnie, obecnie siedzi w Wydziale zdrowia i urzęduje. Piąty to ja, referent w Wydziale polityczno-społecznym przy Starostwie.

Połączyła nas decyzja Urzędu Mieszkaniowego i oto co wieczór schodzimy się w pokoju kolegi eks-ziemianina i dyskutujemy jak powiada nasz inżynier — „de publicis”.

Moi czterej koledzy stanowią jednolity front opozycji przeciw Państwu Ludowemu i wszelkim jego osiągnięciom: a mnie — jako członka Zjednoczonej Partii nazywają „reżimowcem”.

Gdzieś do połowy ubiegłego roku przypominali moi współtowarzysze „białych” emigrantów rosyjskich. Nie interesowali się w ogóle tym, co się w kraju robi, bo to i tak (zobaczysz pan — za kilka miesięcy) miało lada chwila coś gwałtownie zmienić.

Natomiast zapraszano się chętnie do siebie — „jak już będzie po wszystkim”. Eks-ziemianin — do swego majątku. Przewidziano nawet dla mnie jakąś skromną posadkę.

W ostatnich czasach sytuacja zmieniła się. Szybko postępująca odbudowa kraju, imponujące wyniki klasy robotniczej, na każdym kroku widoczny wzrost stopy życiowej obywatela — to wszystko zmusiło moich kole-

gów do bezpośredniego atakowania Polski Ludowej.

Ktoregoś dnia oświadczył nasz inżynier — meliorant, że z tą podwyżką pensji to jeszcze jedna propagandowa bujda. Piszę się i mówię ale w portfelu „szarego obywatela” wzrostu dochodu społecznego — zupełnie nie widać.

Tymczasem od stycznia dostałem poważną podwyżkę.

Wtedy drugi inżynier zaatakował gospodarkę planową. Powiedział mianowicie, że przemysł w stroju socjalistycznym nie zostawia sobie klapy bezpieczeństwa, jaką jest prywatna inicjatywa. Bo plan produkcji jest kosztowny. Jak się o czymś w planie zapomni, to się tego za rok już nie kupi. Gdyby natomiast istniał przemysł prywatny, ten zawsze robiłby to, czego nie produkuje państwowy. I uśmiechając się złośliwie pod moim adresem zapytał: a ołówki, tusze, papier i ekierki do kreślenia — pan mi przyniesie?

Złakłem się w pierwszej chwili, ale wszystko to bez trudu dostałem i przyniosłem zdumionemu koledze.

Jestem stałym czytelnikiem „Wsi”. Zbysław mi trochę na talencie pisarskim. Zresztą walczę z panami Sulerzyckimi w swoim miasteczku. Zaglądać i Wy na prowincję, do naszych urzędów. Wy możecie daleko lepiej i w znacznie szerszym zakresie bić wrogów naszego Ludowego państwa. Bo przecież Polska to jeszcze niestety w większej części prowincja.

Przyjmijcie pozdrowienia
B. K.

12. II. 49 r.

„Nieuchwytny Jacques”

Otrzymałmy od naszego korespondenta zdjęcie Jacques'a Duclos'a z dedykacją, świadczącą o żywym zainteresowaniu czołowych działaczy K.P.F. polską prasą literacką.



Jaques Duclos

Jacques Duclos nie jest typem romantycznego bohatera. Jest niskiego wzrostu, w okularach, zawsze uśmiechnięty i nadziany dowcipami. Jego biografia mogłaby posłużyć za temat do powieści. Swą karierę rozpoczął Duclos w piekle Verdun. Wyszedł z tej bitwy zdecydowanym pacyfistą i stał się wraz ze swym bratem Jean Duclos (również deputowanym, który w rezultacie ran przeszedł 22 operacje twarzy i jest straszliwie zeszpecony) jednym z pierwszych członków i organizatorów komunistycznej partii Francji. Bracia Duclos, Paul Vaillant — Cunturier, Henri Barbusse, Raymond Lefebvre są w latach powojennych kierownikami stowarzyszenia byłych kombatan-

tów i głosicielami hasła pokoju. Już na długo przed 1926 rokiem Duclos zmuszony był do przejścia w podziemie, gdyż za wystąpienia w obronie postępu społecznego i pokoju zapłacił 30-ma latami więzienia (biorąc łącznie). Lecz policja nie potrafiła nigdy go uwięzić. „Nieuchwytny Jacques” nazywano w tym okresie Duclos'a, który umiał w najtrudniejszych momentach wyśliznąć się z rąk policji. Wyszedł z podziemia dopiero, gdy został wybrany deputowanym i zdobył w ten sposób nietykalność poselską. Jako detal można dorzucić, że wybrany został w XX rejonie Paryża, mając za kontrkandydata Paula Raynaud, mimo, że nie miał możliwości odbycia ani jednego zebrania przedwyborcze-

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133, Telefon 100-98

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1050.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Zwirki 2
D—032489

go. Lecz prawdziwy rewanz wziął Jacques Duclos i komuniści w 1936 roku — w okresie Frontu Ludowego — gdy został wybrany wiceprezydentem Izby Deputowanych. We wrześniu 1939 roku znów rozpoczęła się praca podziemna i znów Duclos zamienił się w „nieuchwytnego Jacques'a”. Przez pięć lat kierował pracą nielegalnej partii komunistycznej. Ten niestrudzony i genialny organizator potrafił uczynić ze swej partii: „jedyną zorganizowaną i działającą we Francji podczas okupacji”. — Po wyzwoleniu Duclos, sekretarz P.C.F. jest wiceprezydentem Zgromadzenia Narodowego i szefem komunistycznej grupy parlamentarnej.

L'ist do redakcji

Dyrekcja Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi zwraca się do Szanownego Pana Redaktora w następującej sprawie:

W numerze 1/2 „Wsi” z 1/8 stycznia 1949 r. ukazała się notatka studenta Uniwersytetu Łódzkiego, A. Pawłowskiego zarzucająca Bibliotece kompletowanie czasopism małowartościowych (klerykalnych), a brak podstawowych czasopism społeczno-politycznych.

W związku z tym wyjaśniamy, że Biblioteka Uniwersytecka otrzymuje czasopisma polskie drogą egzemplarza obowiązkowego i z tego tytułu ma obowiązek gromadzenia wszystkich czasopism wychodzących na terenie Rzeczypospolitej. Od sumienności drukarni, na której ciąży według ustawy obowiązek nadsyłania druków, zależy punktualność ich kompletowania w Bibliotece.

„Nowe Drogi”, o które zabiegał A. Pawłowski, czytelnia posiada w komplecie. Ostatni numer 12 za miesiąc listopad—grudzień nadszedł 16 grudnia 1948 r. i wraz ze wszystkimi poprzednimi numerami wyłożony był na półkach.

Poza tym wyjaśnić należy, że na sali czytelnianej dysponuje stałe bibliotekarz, który służy informacjami w wypadkach wątpliwych czy niejasnych, względnie czytelnikom, którzy sami sobie poradzić nie mogą.

Dyrektor Biblioteki
Dr Helena Więckowska

ADMINISTRACJA

TYG. „WIEŚ”

PRZYPOMINA

O WPLACIE ZALEGŁEJ

PRENUMERATY!

W NUMERZE 4(183) TYG. „WIEŚ”
Z DNIA 23 STYCZNIA 1949:

Lech Budrecki — Przypominamy „Ojczyznę” Wasilewskiej (Sprawa nacjonalizmu w literaturze); Stefan Ignar — Z „Chłopskiego Życia Gospodarczego” (1935—1937); Mieczysław Grad — Z socjalistycznych tradycji ruchu ludowego; Witold Łukaszewicz — Jarosław Dąbrowski (w relacji pisma proletariackiego „Le Fils du Père Duchêne”); Wiktor Woroszyński — Wobec odpowiedzialnego zawodu; Paulina Czyżowa — O wioskach ludowych Schillera; Stanisław Szulcowski — wiersze (Notatki szczecińskie); Mosty. Plan Pstrawskiego, w Międzywodziu; Władysław Strzemiński i Roman Modzelewski — Droga Dunikowskiego; M. Rozentat — „Filozofia współczesnych socjalizatorów”; Krzysztof Sławiński — Spisek przeciw rewolucji i narodowi; Stanisław Pięta — Kamraci; Maciej Koliba — Inteligencja ludowa i... nowy etap; Piotr Chmura — Zapewnienia a... wyjaśnienia?; Jerzy Cios — „Młoda poezja”, ale czyja?; Fakty i zdania. 35 ilustracji; Stron 12.

KSIAŻKI NADESŁANE

WYDAWNICTWO LUDOWE

Wacław Mrozowski — Liryki dolnośląskie, str. 5
S. Waldgard — Siły przyrody w służbie człowieka, str. 60
Jan Bojer — Ostatni Wikingowie, str. 288
Jan Bojer — Wielki głód, str. 246.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO - OŚWIATOWA „CZYTELNIK”

Tadeusz Borowski — Kamienny świat, str. 141
J. I. Kraszewski — Z siedmioletniej wojny, str. 297
St. Strumph-Wojtkiewicz — Emigranci, str. 205
Jean Freville — Twórcy socjalizmu naukowego, str. 258
Michał Szoluchow — Cichy Don, str. 238
Janusz Klerner — W śniegach Himalajów (Bib. Rom. i Pow.), str. 64
J. Putrament — Rzeczywistość cz. I (Bib. Rom. i Pow.) str. 64.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Adolf Sowiński — Ściegienny, str. 179
Jarosław Iwaszkiewicz — Chopin, str. 107.

ROŻNE

Fenimore Cooper — Spieg, str. 339. Wielka Księgarnia Wydawnicza.
Jan Baranowski — Łąka skowronków, str. 92
Nakładem Związku Zaw. Literatów Pol. Oddz. Śląski
Kazimierz Koźniewski — Żywioły, 467 str.
Wydawnictwo Zach. Poznań.

INSTYTUT WYDAWNICZY NASZA KSIĄŻKA

Jan Grabowski — Mazury i Warmia, str. 64.